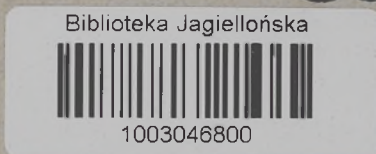


Sternik

dwutygodnik
dla młodych
Warszawa



2619
III or
Czasop
2/1930

ROK II NR. 1

10-go STYCZNIA 1930 R.

CENA 50 GROSZY.

Dotrzymujemy obietnic

Z zadowoleniem i dumą zamykamy bilans pracy, która jest już za nami. Praca-to pozornie niewielka: wydaliśmy w r. 1929-ym trzy numery „Sternika” — trzy niepozorne zeszyty.

Ale każdy z tych cienkich zeszytów był widomym świadectwem, że umiemy dotrzymywać obietnic, każdy następny numer był lepszy od poprzedniego.

Pisząc te słowa, nie opieramy się na własnym sądzie. Byłaby to duma nieusprawiedliwiona i niewczesna.

Opieramy się na Waszem zdaniu, które cenimy tak bardzo.

Napisaliście do nas wiele, wiele listów. Czytaliśmy je z równą zawsze życzliwością, choć nie wszystkie zawierały słowa uznania. Nie brakło między Wami i takich, którzy nie szczędzili nam krytycznych uwag.

I kto wie, czy tym właśnie z pośród Was nie jesteśmy winni największej wdzięczności.

Oni pomagali nam w realizacji naszych obietnic, wskazywali te „najprostsze i najkrótsze drogi”, któreśmy sobie przyrzekli obierać w dążeniu do zyskania Waszej przyjaźni.

Oni wreszcie dowiedli, że losy „Sternika” leżą im na sercu, że nie jest im **wszystko jedno**.

Oni są tym twórczym fermentem, bez którego nie obejdzie się żadne dzieło.

Teraz już wiemy dobrze, czego nam brak i w jakim kierunku mamy nadal podążać. Każda zmiana, każda innowacja, które w miarę możliwości będziemy wprowadzać, będzie odtąd obrazem Waszego zdania i Waszych wymagań.

Wiele naszych pomysłów i działań spotkało się z nieklamana sympatją Czytelników. Działy te będziemy się starali rozszerzać i polepszać.

Bo takie były nasze zamierzenia.

Wszystkim tym, którzy pisali do nas listy, którzy słowami uznania, lub nagany umocnili w nas przekonanie, że „Sternik” jest pismem potrzebnem i żywym — dziękujemy serdecznie i z powagą.

Dzięki Wam, czytelnicy, możemy z zadowoleniem i z dumą zamknąć bilans zeszłorocznych wysiłków.

Dotrzymaliśmy naszych obietnic.

REDAKCJA.

POLITYCY JUTRA

Gdyby Stańczyk żył dzisiaj, zmieniłby napewno treść swego żartu o lekarzach, gdyż niewątpliwie znalazłby w Polsce najwięcej polityków. Każdy uważa, że może wygłaszać swe zdanie o najzawilszych problemach politycznych, każdy wie, co w danym wypadku powinien uczynić ten, czy ów minister. Dyletantyzm i niekompetencja zbierają obfite plony. Przywódcy wielu ugrupowań politycznych operują argumentami niewytrzymałymi logicznej krytyki — argumentami o demagogicznych efektach.

A jednak na ten efekt demagogii bierze się wielu polityków, gdyż w istotę rzeczy wnikać nie chcą i nie umieją. Znowu dyletantyzm i niekompetencja. A przytem dzisiejsi politycy są wyznawcami jeszcze innego kultu — kultu słowa. Słowa, puste frazesy, bezkrytyczne i nieprzemyślane — oto jedyna działalność wielu polityków doby dzisiejszej. Tych polityków, których tak wielu, tak bardzo wielu w naszym państwie znajdujemy.

A jednak polityków nam potrzeba — każdy pełnoletni człowiek głasze do Sejmu, każdy ma wpływ na kierunek polityki państwa. Czas jednak, aby zaczął się tworzyć inny typ polityka, inny typ działacza społecznego.

— Co nas obchodzi polityka — powie może niejedyn z was.

A jednak może właśnie wśród was, czytelnicy, jest dziś przyszły premier, są przyszli ministrowie i posłowie. Tylko musicie być inni, lepsi niż dzisiejsze pokolenie — pamiętajcie, że wyrosnąć z was muszą politycy Jutra.

Politycy Jutra muszą umieć pracować. Jakież okropne są typy kawiarnianych polityków, których jedyną treścią życia są plotki, intrygi i przemówienia. Człowiek, który nie umie pracować wytrwale, który nie umie rozpoczętej pracy doprowadzić do końca, taki człowiek niech się nie bierze do pracy, której i zakres i treść zwiększają zadania — do pracy państwowej.

Trzeba się nauczyć pracować — a im zdolniejszy człowiek, tem bardziej mu umiejętność pracy potrzebna. Nie wiem, czemu to przypisać, że w naszym kraju ludzie lubią uchodzić za zdolnych, a wstydzą się pracowitości. Uczeń woli się chwalić nieodrabianiem lekcji, niż ich starannem przygotowaniem. Wytworzyła się opinia, że tylko niezdolni są pracowici, a przecież każdy chce uchodzić za zdolnego.

Z tą opinią musimy walczyć. Musimy pokoleniu lekkoduchów przeciwstawić pokolenie ludzi pracy. Nie zaniedbujmy też pracy fizycznej — człowiek, który nie potrafi wziąć się do żadnej pracy fizycznej — jest istotą niepełną. A jakże będzie przyszły polityk rozważał zagadnienia socjalne, ochro-

nę pracy i t. d. — gdy pracę fizyczną będzie znał w najlepszym razie „z widzenia”.

Z umiejętnością pracy wiąże się wyrobienie w sobie wytrwałości. Polityk Jutra nie może być człowiekiem, który będzie się przerzucał od jednej dziedziny do drugiej — nieraz trzeba zęby zacisnąć, ale przy jednym warsztacie pracy stać wytrwale.

Polityk Jutra musi znać życie polskie. Tu nie wystarczą książki i gazety. Trzeba badać warunki naszego życia. Jedni interesują się może więcej wsią i rolnictwem — inni miastem i przemysłem — trzeba to pogłębić.

Poznajmy, warunki pracy gospodarzy wielko- i małorolnych oraz służby rolnej. Poznajmy ich potrzeby, ich poziom życia — a poznajmy to przez bezpośrednie zetknięcie się z nimi. Ludność rolnicza, to podstawa państwa — niechżeż wieś stanie się terenem naszego zainteresowania, abyśmy swą polityką mogli tej wsi iść z pomocą.

Inni, co interesują się przemysłem, niech zapoznają się z warsztatami naszego robotnika i rzemieślnika — niech zetkną się z ich życiem.

A inni może zechcą badać życie polskie regionalnie — potrzeby kresów, potrzeby tej, czy innej ziemi.

Ale wejdźmy w to życie. Wydobywajmy się, choć przez krótkie okresy, z tego życia wyłącznie w jednej sferze, wyłącznie w kręgu tych samych ludzi o znanych nam potrzebach. Idźmy do innych ludzi — idźmy z wolą współpracy, pomocy — w jednym, skorzystania samemu w drugim.

Ale to jeszcze nie dość. Teoretyczne uzupełnienie praktycznych prac zawsze jest potrzebne. Trzeba czytać. Czytać dobre książki i prace — szukać źródeł. Przyzwyczajmy się do korzystania ze źródeł, do krytycznego zgłębiania każdej sprawy. Jeśli mamy mówić o konstytucji, to nie poprzestawajmy na paru artykułach, ale sięgajmy do samego tekstu. Nie naśladowujmy polityków dzisiejszych, którzy mówią o rzeczach zupełnie sobie nieznanym.

Odcinek tej pracy państwowej — to dziś pole wielkich twórczości, to radosne budowanie swego państwa. Ale jednocześnie — zadanie odpowiedzialne i trudne, zadanie do którego przygotować się trzeba.

I dlatego nie mówimy wam: — „bądźcie dalecy od polityki”; mówimy wam: „przygotujcie się do tego, że będziecie rządili krajem, zdobywajcie podstawy wiedzy politycznej, umiłowujcie pracę i czyn, a wtedy wy — Politycy Jutra — będziecie politykami czynu.

W. P.

LUDWIK FRYDE.

S Z K O Ł A

*To skrzypli kreda skrzypliwa na porysowanej tablicy
Tysiące umarłych imion, tysiące umarłych prawd,
A z okna wali ulica, huczy i rwie się i krzyczy,
Oblewa światłem Chrystusa — wieczności widomy znak.*

*Zalewa nas potok faktów. Jak kamień nieznośny ciężą
Ludzie ogromni i wielcy na mapie dalekich dat
I chyba już zwątpić w siebie, czuć, że nie można zwyciężyć,
Bo cień bohaterskich wieków całunem na duszę padł.*

*Ale my mamy już dosyć. Idziemy przeciw obłudzie.
My mamy też prężne bary. I chcemy swobodnie żyć.
Jesteśmy ci sami, co dawniej, szaleni młodością ludzie,
Możecie zeszcłe wawrzyny posągom kamiennym wić.*

*My wiemy, że nigdy o nas nie będą mówili w szkołach.
Miniemy, jak jasny meteor, co gaśnie — ledwie rozbłyska.
Jeno się po nas zostaną w przestronnych szkolnych pokojach
Na ławkach sosnowych ryte nożem stalowym nazwiska.*

O Demokracji i Parlamentaryzmie

Tak często używamy dziś obu tych wyrazów, o ważnych dla państwa naszego rozmawiając sprawach, że należałoby dokładnie zapoznać się z ich znaczeniem.

Czy demokracja i parlamentaryzm to to samo? —

Chyba, że tak, możnaby pomyśleć, gdy się słucha wywodów różnych obrońców praw narodu. Ale pocóż w takim razie, aż dwa wyrazy, i to oba obce, na oznaczenie jednego i tego samego pojęcia?

Demokracja jest wyrazem pochodzenia greckiego, jak to z pewnością dokładnie jest wiadome Czytelnikom „Sternika”. Oznacza: rządy ludu (**demos** = lud; **kratejn** = rządzić). Rządy takie ustaliły się w formach wyraźnych w niektórych krajach Grecji starożytnej, zwłaszcza w w. V przed Narodz. Chrystusa. Klasycznym przykładem ówczesnej demokracji jest ustrój Aten w w. V (zwłaszcza po r. 462), a najświetniejszym okresem demokracji ateńskiej jest czas, kiedy rządził tam właściwie jeden człowiek — sławny Perykles, mąż zaufania narodu, nietylko jego mandatarjusz, ale i istotny kierownik, zręcznie umiejący podsunąć najwyższemu panu Aten — „Demosowi”, zebranemu w komplecie na agorze (ryнку), konieczne zarządzenia lub reformy. (Kierowany przez innych, mniej zdolnych, lub mniej godnych zaufania mandatarjuszy, pan — Demos, — tak wyśmiewany przez Arystofanesa, potrafił nieraz popełniać niewybaczalne błędy.) Najistotniejszą cechą społeczną demokracji ateńskiej była — jak ją nazywa Perykles u Tucydidesa — **isonomia**, t. zn. równość uprawnień poszczególnych członków społeczeństwa, poszczególnych obywateli.

Demokracja starożytna pod wieloma względami różniła się jednak od nowożytnej. Wskażemy tu na duże główne różnice: 1) w Atenach np. prócz obywateli pełnoprawnych i wolnych cudzoziemców, byli jeszcze niewolnicy; państwa nowoczesne nie znają instytucji niewolnictwa. 2) W demokracjach greckich lud wszechwładny wypowiadał swą wolę bezpośrednio, na walnym zebraniu wszystkich obywateli; w państwach nowoczesnych, znacznie większych, byłoby to niewykonalne, to też naród wyręcza się tu swymi reprezentantami, których sam wybiera. Mówią oni i działają w jego imieniu w parlamentach, wywodzących swe istnienie z odpowiednich instytucji średniowiecznych. (I nasz parlament — czyli sejm — miałby za sobą tak dawną tradycję, gdyby nie rozbiory, które na czas pewien przerwały istnienie naszej państwowości.)

Na gruncie nowożytnej cywilizacji europejskiej zasady demokratyczne przy urzędowaniu państwa zastosowane zostały poraz pierwszy w Ameryce Północnej po zwycięstwie, jakie nad swą metropolją (krajem macierzystym) odniosły w w. XVIII tamtejsze kolonie angielskie. (Na kontynencie europejskim nastąpiło to dopiero w r. 1791, we Francji, po rewolucji r. 1789). Utworzone po traktacie wersalskim (1783) Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wprowadziły u siebie w życie zasady, częściowo przedtem już zrealizowane w Anglii, częściowo zaś sformułowane dopiero w postaci postulatów w ówczesnej europejskiej (francuskiej głównie) literaturze politycznej. Konstytucja Stanów Zjednoczonych (weszła w życie w r. 1789) oparta została przedewszystkiem na zasadzie całkowitego wszechwładztwa narodu, który sam jeden — wyłącznie — ma prawo decydować o tem, jak i przez kogo ma być rządzony, w jakich formach społecznych i politycznych zamknie swe życie. Wszystkim członkom owego narodu — czyli każdemu poszczególnemu obywatelowi — zapewniała ta konstytucja jednakowe uprawnienia (a więc **isonomia** Tucydidesowa). Nie uznawano tu stanów społecznych, które istniały jeszcze podówczas w Europie, a które różniły się między sobą uprawnieniami składających je jednostek. Tu każdy obywatel równy był innemu obywatelowi przed obliczem sądu, wobec nagród, kar, możliwości służe-

nia państwu i społeczeństwu, zdobycia sobie takiego, czy innego stanowiska, majątku i t. d. Każdego też obywatela jednakowo starała się uchronić konstytucja przed możliwym gwałtem i bezprawiem ze strony władz.

Władze te z kolei utworzone zostały wedle zasad, które przyjmowały się wtedy dość szeroko pośród „oświeconej” (w. XVIII) publiczności europejskiej, a które najwyraźniej sformułował w owych czasach pisarz francuski Montesquieu w swym „Duchu praw” w postaci t. zw. teorii podziału władz. Zgodnie z nią władzę wykonawczą — w całej jej pełni otrzymał w Ameryce prezydent, obierany na lat 4 i mianujący z kolei do zarządzania poszczególnymi działami administracji państwowej ministrów. Ministrowie ci zależni byli wyłącznie od prezydenta: on mógł (i może) zarówno mianować ich jak i odwołać w każdej chwili. Nie są oni odpowiedzialni **parlamentarnie** przed parlamentem. W Stanach Zjednoczonych nie może więc być tego, co my nazywamy „votum nieufności”, „kryzysem rządowym” w naszym tego określenia rozumieniu i t. p. Rząd jest tam niezależny od parlamentu, ministrowie mogą być mianowani bez względu na to, jaki jest układ partij w parlamencie. Oczywiście zarówno ministrowie jak i sam prezydent nawet nie są bezkarni: gdyby popełnili czyn, kwalifikujący się jako przestępstwo, gdyby np. znajdowali się w porozumieniu z wrogami państwa, popełnili jakieś nadużycia finansowe, przekroczyli granice swej władzy, gwałcąc w ten sposób konstytucję i t. p., mogą być przez parlament (dwuizbowy, Kongresem tam zwany), a mianowicie przez izbę deputowanych, postawieni w stan oskarżenia — podlegają wówczas sądowi i odpowiedniej karze. Ale parlament nie ma prawa wtrącania się do funkcji rządzenia o tyle, o ile odbywają się one zgodnie z konstytucją i w zakreslonych przez nią ramach. Kongres jest w Stanach Zjednoczonych instytucją wyłącznie prawodawczą i w pewnej mierze kontrolującą. Wydaje prawa, określa wysokość budżetu, ale nie rządzi. Rozdział między instytucją rządzącą, a instytucją prawodawczą jest tak wielki, że ministrowie nie mają nawet prawa przemawiania w izbach i nie mogą być mianowani z pośród członków Kongresu. Innemi słowy: nie było — i niema — w demokratycznej republice Stanów Zjednoczonych systemu rządów parlamentarnych.

Lecz cóż to za system w takim razie? Zaraz zobaczymy.

W czasie, gdy powstawały dopiero Stany Zjednoczone, ich dawna macierz, Anglja, była krajem o oddawna już ustalonej tradycji rządów konstytucyjnych. Był tam — jak i dziś — król, reprezentant państwa, który ciągle jeszcze „panował”, jak i dziś panuje, ale już nie „rządził”. Coprawda nie ustaliło się jeszcze w całej pełni to, co nazywamy parlamentarnym systemem rządzenia, ale okoliczność ta w niczem nam nie przeszkodzi: Anglja ówczesna — Anglja z czasów Jerzego III — na krótko uchyliła się z drogi, na którą zaczęła wchodzić za poprzedników tego króla (pierwszych królów z dynastji Hanowerskiej, Jerzego I i II) i na którą nawróci zdecydowanie wkrótce po kongresie wiedeńskim (1815). Otóż około połowy w. XVIII, w wyniku takich aktów konstytucyjnych, jak Deklaracja praw (1689) i Akt o następstwie tronu (1701), tudzież innych jeszcze przyczyn, rada ministrów, będąca przedtem tajną radą królewską, wyłączanie od króla zależną, przekształcała się coraz wyraźniej w instytucję samodzielną, obradującą pod przewodnictwem jednego z jej członków, którego ów pierwszy minister — premier w dzisiejszych państwach parlamentarnych — staje się jakby łącznikiem pomiędzy królem a radą ministrów. Ponieważ od początku w. XVIII obowiązuje w Anglii zasada, że każde zarządzenie króla — nieodpowiedzialnego zupełnie i przed nikim za swe czyny i „niemogącego błędzić” — musi być, pod grozą nieważności, podpisane również (kontrasygnowane) przez jednego z ministrów, biorącego na sie-

bie odpowiedzialność za nie, przeto ministrowie coraz bardziej zaczynają się liczyć z głosem parlamentu, wiedząc, że będą odpowiedzialni przed nim, a król, w razie czego, niekoniecznie potrafi ich osłonić. (Jerzy I zaprzestał nawet bywania na posiedzeniach rady, nie znał bowiem języka angielskiego; szefem rządu coraz wyraźniej stawał się nie król, lecz premier). Rada staje się stopniowo coraz bardziej niezależna od króla, coraz pilniej natomiast przysłuchuje się życzeniom parlamentu. W r. 1742 ówczesny premier (Walpole), straciwszy poparcie większości parlamentu, uznał za niemożliwe w tych warunkach dalsze sprawowanie rządów — wbrew parlamentowi — i wraz ze swymi kolegami poprosił króla o dymisję. Czyn jego zyskał moc precedensu, obowiązującego na przyszłość: odtąd każdy premier angielski musi mieć zapewnione poparcie większości członków parlamentu (przynajmniej Izby Gmin — t. zn. izby deputowanych); gdy je traci, może rozwiązać izbę deputowanych i zarządzić nowe wybory. Odwołuje się tym sposobem do opinii publicznej, która występuje w danym wypadku w roli najwyższego sędziego, mającego rozstrzygnąć o zatargu między rządem a izbą. Jeśli wybory dadzą większość przeciwnikom rządu, rząd ustępuje.

Tak więc rząd w Anglii — tak, jak to jest tam i obecnie — **musiał** mieć zapewnione poparcie (lub conajmniej zycziwą neutralność) większości członków parlamentu, mógł więc rządzić tylko zgodnie z wolą parlamentu. Wobec tego w praktyce okazało się rzeczą najkorzystniejszą (początkowo było to zabronione) powierzanie funkcji rządu wprost przywódcom większości parlamentarnej. A więc rząd, choć oficjalnie mianowany zawsze przez króla, jest właściwie w Anglii emanacją parlamentu, jakby jego komitetem wykonawczym. Wszyscy członkowie rządu są **odpowiedzialni parlamentarnie** — t. zn. bez jakiegokolwiek winy z ich strony, poprostu naskutek różnicy zdań pomiędzy nimi, a parlamentem, mogą być przez parlament zmuszeni do ustąpienia. Oczywiście niezależnie od tego istnieje w Anglii również **odpowiedzialność sądowa** ministrów, którzy mogą być postawieni w stan oskarżenia przez izbę gmin mającą pod tym względem te same prawa, co i izba deputowanych amerykańska. Nieodpowiedzialny jest tylko król, który jednak, w przeciwieństwie do prezydenta Stanów, nie jest wcale szefem rządu.

W chwili, gdy opisany wyżej system rządów parlamentarny wytwarzał się w Anglii, kraj ten był o sto mil od demokracji. Anglia ówczesna — to typowy przykład oligarchji, rządów nielicznych (w stosunku do ogółu ludności) magnatów. Oligarchja owa opierała się na dziwacznym, przestarzałym systemie wyborczym, skutecznie przez nią bronionym, aż do pierwszej reformy wyborczej z r. 1832. Tak np. w r. 1815, gdy ludność Zjednoczonego Królestwa wynosiła

około 20.000.000 mieszkańców, z prawa wyborczego czynnego korzystało zaledwie 440.000 osób. Z tego więcej niż 420.000 przypadło na wyborców z hrabstw, wybierających razem zaledwie 186 deputowanych; resztę — 467 deputowanych — wybierała kilkunastotysięczna garstka wyborców z miast i miasteczek. Zdarzały się wypadki, że poseł był wybierany przez jednego uprawnionego do głosowania wyborcę w danym miasteczku. Wysyłały swych deputowanych liczne małe miściny, stanowiące własność magnatów, rozrządzających tam dowolnie wyborcami, podczas gdy równocześnie wiele nowych, szybko rosnących w ludność miast przemysłowych nie miało zupełnie mandatów.

Szeregiem reform, przeprowadzonych w w. XIX i XX, Anglja zdemokratyzowała stopniowo swoje urządzenia polityczne: dziś jest już państwem i parlamentarnem i demokratycznym. Z drugiej znów strony Stany Zjednoczone Ameryki Północnej uzupełniły i udoskonalily swe urządzenia polityczne przez wprowadzenie we wszystkich stanach głosowania powszechnego i — co najważniejsze — przez zniesienie niewolnictwa murzynów, istniejącego aż do czasów wojny secesyjnej (1861 — 65), jednak parlamentaryzmu u siebie nie wprowadziły, zachowując swą uzupełnioną poprawkami częściową konstytucję bez zmian zasadniczych. Jak tedy wynika z powyższego — demokracja może istnieć bez parlamentaryzmu, a parlamentaryzm bez demokracji. W żadnym zaś razie nie są to pojęcia identyczne.

Jednakowoż — mimo świetny przykład wielkiej demokracji północnoamerykańskiej — (zarówno demokracja, jak i parlamentarny system rządów, czyli parlamentaryzm, stanowią pewnego rodzaju ideały, ku którym dążyły i które w ogromnej ilości wypadków istotnie osiągnęły państwa i społeczeństwa nowożytne, wyrosłe na podłożu kultury europejskiej) — zarzucanie komuś antydemokratyczności jedynie na tej podstawie, że ów ktoś jest przeciwnikiem rządów parlamentarnych, jest zgoła nieuzasadnione. Osoba, formułująca tego rodzaju zarzut **jedynie** na owej podstawie, albo sama błędzi, albo — jeśli jest dostatecznie kompetentna w tej dziedzinie — innych pragnie w błąd wprowadzić, nadużywając ich nieświadomości.

Tak samo rzecz się ma z t. zw. „kryzysem parlamentaryzmu”, o którym mówienie staje się dziś rzeczą niemal modną.

Kryzys parlamentaryzmu nie oznacza jeszcze bynajmniej kryzysu demokracji — zwłaszcza w jej najistotniejszych, społecznych zdobyczach, w zakresie „isonomii”. Pomówimy zresztą o tem innym razem.

J. P. Dąbrowski

RĄBEK JASNEJ PRZYSZŁOŚCI SPOŁECZNEJ

Zyjemy wciąż w oparach krwi... Choć przecież wojna dawno się skończyła. Ale fakt ten nie ma nic do rzeczy i w niczem nie zmienia treści pierwszego zdania, że — żyjemy w oparach krwi.

Nietylko u nas, ale w zachodniej, centralnej i południowej Europie, w całym świecie cywilizowanym, w krajach, które mają pretensję do miana luminarzy współczesnej kultury, — dzień w dzień leje się krew. Od tej krwi, aż czerwono na szpaltach prasy. Codzień zobaczyć możemy w gazetach wydrukowane tłustymi czcionkami sensacyjne morderstwa, wyrafinowane zbrodnie, krwawe samosądy, niesamowite w swej grozie i czelności napady.

Uskarżamy się na czerwoną prasę, ale przecież jedyną jej winą jest to, że dogadza ona i schlebia gustom swoich czytelników. Krew pachnie dziś wonią najbardziej sensacyjnej aktualności, zaspakaja niezdrowy gust czytelnika, wywołuje zainteresowanie. Wydaje się chwilami, że żywoty współczesnych kawalerów księżycy są najciekawszą lekturą, a z pod najciemniejszej gwiazdy opryszek nędzną swą osobą przykuć może uwagę czytających milionów.

Obok tych tuzów przestępczych wielotysięcznym krokiem postępują

rycerze zakazanych kunsztów zarobkowych minorum gentium. Niewiadamo kogo więcej: złodziejów, farmazonów, alfonsów, oszustów, paserów, czy zgoła handlarzy żywym towarem? W więzieniach braknie miejsc, trzeba budować nowe dla kandydatów na lokatorów zakratowanej celi.

Obserwując przygniatającą liczbą dokonywanych przestępstw, a więcej jeszcze — to niesłychane zainteresowanie, jakie w masach czytelnicy budzi wszelki czyn przestępczy o posmaku sensacyjnym, — doznajemy niezmiernie przykrego wrażenia. W powodzi codziennych zbrodni i wszelkiego rodzaju łajdactw, jakże często rodzi się w nas gorycz i pesymizm w stosunku do moralnych postępów cywilizacji, a rozważania nasze o warunkach współczesnego życia społecznego do głębi przenika jad wątpliwości.

Usiłujemy się wprawdzie pocieszać, mówiąc, że głąd krwawych sensacji jest wynikiem wojny. Zwiększona liczba przestępstw — to także wynik wojny. Bo przecież wojna obniżyła poziom moralny społeczeństwa. Wojna dawała nerwom tak silną dawkę podnieceń, że i dziś domagają się one wrażeń mocnych — narkotyku krwi.

Jeżeli jednak stępienie moralne i opaczny gust szerokich mas, oraz

głód sensacji w pewnej mierze możemy tłumaczyć sobie wpływem wojny, to wzrost przestępczości obserwowany dziś we wszystkich niemal krajach Europy w porównaniu do lat przedwojennych bezpośrednim wpływem wojny wytłumaczyć się nie da. Dowodem Ameryka, gdzie przecież wojny nie było, a gdzie popełniane są najbardziej na świecie „sensacyjne” zbrodnie, a zbrojne napady organizowane są w biały dzień przez bezczelne szajki bandytów.

Gdzieindziej więc szukać należy przyczyni wzrostu przestępczości. I w tym celu warto zastanowić się nad pobudkami, jakie pchnęły ludzką na drogę przestępstw. Przeprowadzane w tym kierunku badania wykazują, że większość czynów przestępczych została popełniona z nędzy, z niemożności znalezienia pracy. Sprawcami tych czynów są przeważnie ludzie bez żadnego wykształcenia, analfabeci.

Zło społeczne, jakim niewątpliwie jest nędza, bezdomność, brak pracy i brak oświaty, rodzi owoce grzechu — czyny przestępcze. Po ostatniej wojnie szczególnie dają się we znaki większości krajów europejskich powyższe klęski społeczne. To też dotkliwie odczuwamy ich bezpośredni wynik — wzrost przestępczości.

Powyższe założenie teoretyczne uzasadnia nam dobitnie przykład teorii skandynawskich, gdzie poziom oświaty, kultury i dobrobytu w kilkudziesięciu ostatnich latach znacznie się podniósł. Dziś kraje te pod względami powyższymi przodują całej Europie. Przodują także, — rzecz jasna wobec wysokiego stanu dobrobytu, swymi instytucjami pomocy i opieki społecznej. A bezpośrednim wynikiem tego stanu krajów skandynawskich jest stale zmniejszająca się liczba więźniów. Więzienie Oester-malm w centrum Sztokholmu przebudowano i zamieniono na archiwum historyczne. Duże więzienie Vorberg na północy-wschodzie Szwecji posiadało w 1927 r. tylko dwóch więźniów, w roku ubiegłym — zaledwie jednego. W więzieniu na Visby (słynna wyspa róż na Bałtyku), w Engeholm, Hararanda i Karlshaus — liczba więźniów nie przewyższa pięciu.

Cała Szwecja liczy obecnie zaledwie 2.000 więźniów. Niemal tyle ile ich posiada stolica nasza...

Więzienia szwedzkie pustoszeją. Jeśli liczba przestępców i nadal spadać będzie w tem samym tempie co w ostatnich latach, — wkrótce więzienia znikną z powierzchni państwa szwedzkiego. — Stanie się wtedy Szwecja ziemią obiecaną ludzkości!

Przykład, jakim służą nam kraje skandynawskie w dziedzinie „stosunków przestępczych”, jest dla całej ludzkości faktem niezwykle krępującym. Dowodzi on jasno, że przyczyną znacznej części przestępstw są złe warunki życia, w jakich wychowują się i żyją liczne w każdym społeczeństwie jednostki. Zarazem z prawdziwą radością wysnuć możemy ogólną przesłankę, że poziom oświaty, kultury, oraz dobrobytu material-

nego warunkuje poziom moralny społeczeństwa, a co za tem idzie wpływa na zwiększenie lub zmniejszenie przestępczości.

W tem oświeceniu sprawy, ujmującym zjawiska życia społecznego w płaszczyźnie rzeczywistości, widnieje dla całej ludzkości, rąbek jasnej przyszłości społecznej. Pesymizm, łatwe uogólnienie w rodzaju: „poziom moralny stale się obniża”, „cywilizacja, obok postępu technicznego nie się nieuchronnie degenerację moralną” — są zgoła nie na miejscu. Doświadczenie społeczne, czynione nieuprzedzoną obserwacją, narzucają nam zgoła inne kategorie rozważań i wniosków. Wielka bolączka życia współczesnego, jaką jest wzrost przestępczości, da się usunąć przez podniesienie dobrobytu mas, bo wtedy najważniejsza pobudka — głód — przestanie istnieć.

A nienormalny głód sensacji, najniższy poziom zainteresowań, zbrodnia, jako emocje dla mas czytających, słowem „krew”, przepełniająca dziś szpalty prasy codziennej zostanie wykarczowany bez reszty, jeśli podniesimy poziom oświaty, jeśli stworzymy szereg urządzeń kulturalnych o jaknajszerszym zakresie i pojemności społecznej. Wówczas bowiem — ten głód wrażeń i zainteresowań, jaki dziś przejawia się w kierunku smaku krwi, przeniesie się w inne dziedziny doznań, przeżyć i wrażeń.

Życie uczy nas, że, aby zgnębić zło, trzeba usunąć jego przyczyny. Nie pomogą utyskiwania nie pomoże propaganda pięknych haseł, ani grzmiące słowem apostołstwo, w czambuł potępiające zło. Pomogą jedynie dobre szkoły dla wszystkich, urządzenia kulturalne, domy ludowe, racjonalnie pomyślane miejsca rozrywkowe, silnie rozbudowane instytucje opieki społecznej, pozbawione charakteru dobroczynnego, zażegnanie klęski mieszkaniowej i t. p. bolączek współczesnej społeczności.

Obok tych prac, jakie społeczeństwa współczesne muszą przeprowadzić na polu oświaty i kultury, najpoważniejszym zagadnieniem jest — kwestja pracy zarobkowej. Zagadnienie niewątpliwie najtrudniejsze do rozwiązania, to też i najdonioślejsze jeśli chodzi o dobrobyt mas. Łączy się ono z szeregiem innych kwestyj, jak: rozbudowa przemysłu, organizacja rolnictwa i t. p. — Jak ściśle zagadnienie pracy związane jest ze sprawą przestępczości, dowodzi fakt, że w okresach kryzysów przemysłowych, a co za tem idzie — wzmożonego bezrobocia, liczba popełnianych przestępstw wzrasta poważnie.

W wyniku rozważań powyższych skonstatować musimy, że racjonalna, jedynie skuteczna walka z przestępczością toczyć się winna po linii zaspokojenia potrzeb oświatowych i kulturalnych, a także w kierunku rozbudowania urządzeń samopomocy społecznej i walki z brakiem pracy.

W świetle tych wniosków — jasno rysuje się droga naszych zadań i obowiązków społecznych.

R. M.

—○○○○○—

Historja tragicznego wieczoru

Jadąc wyboistą, polną dróżką pan Jan Cichowski, niespełna dwudziestoletni dziedzic kilkowieśki, pożałował się Boże, majątku, miał miłą wielce zafrasowaną. Co teraz będzie? Właśnie wraca z poczty. Telefonował do Warszawy, aby się dowiedzieć o wyniku sekcji psiej głowy. Odpowiedź otrzymał lakoniczną i jasną: „Pan Cichowski, głowa Nr. 317 pies był bezwzględnie wściekły. Proszę pofatygować się niezwłocznie do Warszawy celem odbycia kuracji”.

Miała perspektywa z tem „odwściekaniem”. I żeby przez takiego paskudnego kundla tyle kłopotu — myślał. Trzeba będzie pewno wystrzelać wszystkie psy, kto wie, czy uda się uratować Morusa, starego przyjaciela lat „młodzieńczych” (tak zwykle wyrażają się o swej niedawnej przeszłości ludzie bardzo młodzi).

Ale, że młodość jest synonimem optymizmu pan Jan nie rozpaczal; przeciwnie powoli wrócił mu dobry humor, popędzał więc konia mrużąc: „Jakoś tam będzie”, i spokojny już kontynuował swą drogę.

* * *

między niepogryzionymi. Zdenerwowało go to — czego się ci ludzie boją, nic im przecież nie grozi?

Tymczasem ludzie biegający dotąd z kąta w kąt i stosownie do pici i wieku klnący, narzekający i płaczący odzyskali „stracone” głowy i zapragnęli natychmiastowej zemsty — egzekucji nad psami, oraz wyjazdu Janka na kurację, bo to, jak powiadał pomagający mu w gospodarce stary wujaszek Wincenty: „Człowiek nie wie dnia, ani godziny”...

* * *

Wszyscy jakby się uwzięli na biednego Janka Cichowskiego. Ledwie bowiem zajmując się sprawami gospodarskimi zdołał się nieco uspokoić i odzyskać równowagę duchową i cielesną, a ta ostatnia pozwoliła mu skonstatować, że jest niezmiernie głodny; i ledwie zjawił się w pokoju stołowym, aby pokrzepić swe nadwątlone wrazeniami minionego dnia siły, zaczął się dalszy ciąg kampanji biorącej początek w sercu pełnym współczucia, naszpikowanej wstchnieniami, kiwaniem głową i mającej być ulgą w strapieniu, a w rzeczywistości będącej tegoż strapienia ukoronowaniem.

Trzeba przyznać, że w spokojnym zwykle dworku dziwnie przykry panował nastrój tego wieczoru. Pani Kalinowska wcale nie jadła kolacji, tylko nieustannie kładła pasjansy wzdychając przytem i pomrukując coś półgłosem. Wuj Wincenty, aczkolwiek niemniej przerażony od pani gospodyni, nie wyrzekł się swego ulubionego „kwaśnego mleczka z kar-

KOLEGA i KOLEŻANKA

Jakże to było dawniej? Kiedy się spotykali, o czym i jak rozmawiali ze sobą i w jakich okolicznościach? I czy rozumieli ów cudowny sens koleżeństwa, czy rozumieją go dzisiaj?

Ileż to razy pytania owe przychodzą mi na myśl, natrętne, nieodparte, bezustanne. To przecież było dawno, kiedy byłem w szkole, wspomnienia są już trochę przyćmione, ale tak bardzo pragnę odtworzyć to „wczoraj”, zestawić z dniem dzisiejszym, zanalizować przeróżne momenty owego współżycia koleżeńskiego, wydobyć podobieństwa i różnice i wreszcie wysnuć wnioski — marzenia, (broń Boże sens moralny), jak być może, czy powinno, — o ile wogóle tak sprawę stawiać można.

A więc jak to było dawniej. Dziewczynę sposobiono na żonę, matkę i gospodynię. Dawano jakie takie wykształcenie, albo kończyło się na konwersacji francuskiej, malowaniu na porcelanie czy jedwabiu, umiejętności zachowania się w towarzystwie i właściwie wszystko. Potem czekała na męża. Dla niego był cały świat, dla niej dom. Te, które nie liczyły na posag, kończyły gimnazja, czy pensje o programie zupełnie innym i niższym, aniżeli w szkołach męskich. Od zarania swoich dni żyły w atmosferze stosowania się we wszystkim do woli, interesów, potrzeb, kaprysów ojca, brata, potem męża, syna. Mogły być od owego brata tysiącokrotnie zdolniejsze, tysiącokrotnie żądniejsze wiedzy, ale pierwszeństwo miał on — zaprzędawano się na naukę dla syna, jeżeli szło o córkę, była to sprawa bardzo trzeciorzędna. Ona mogła się uczyć (wcale nie zawsze) on **musiał** się uczyć. Oczywiście od lat najmłodszego dzieciństwa oswajał się chłopiec z tem, że jest czemś lepszym i zgoła wyższym od dziewczyny. To pewne lekceważenie (mimo miłości braterskiej), ową protekcjonalność przenosił na koleżanki siostry. Mógł się przecież nawet durzyć w takiej „kocie”, nawet, ach mój Boże, kochać, ale... To były gęsi, kozy, jak nas w wieku od lat 13 do 17 nazywano dawniej. Jakże wyglądało owo współżycie między młodzieżą płci obojga?

W stosunku do siostr, jak zaznaczyłam powyżej duże poczucie wyższości (bo to ona wie, co to tangens, cotangens, geometria wykreslna, greka, czy łacina, klipa albo palant?) w stosunku do znajomych panien, dopóki nie awansowały na stanowisko ideału i dopóki się do nich nie pisywało wierszy, w stosunku do owych znajomych była oczywiście większa

kurtuazja, aniżeli w stosunku do siostry, znacznie więcej rycerskości aniżeli dzisiaj, ale o jakimś koleżeństwie rzadko mogła być mowa. Spotykano się w drodze do szkoły, na ślizgawce, (ideałowi przypinano łyżwy), na tańczącym wieczorku (tylko w karnawale i to w domu rodziców), albo na lekcjach tańca i wszystko. Młodzieniec i panna. On, posiadający pewną swobodę, ona strzeżona, odprowadzana nawet na pensję bardzo często, pilnowana, krępowana tysiącem konwencjonalizmów. Zmieniło się to bardzo i prawie raptownie (oczywiście tylko w pewnych sferach) z rozwojem ruchu wolnościowego, pracy podziemnej, w której niektóre, wybitnie indywidualne jednostki z pośród dziewcząt wzięły udział, zmieniło się z rozwojem potajemnych kółek samokształceniowych, a przedewszystkiem od czasów walki, którą podjęła młodzież, walki o szkołę polską — spotykano się teraz na wspólnych kompletach, uczono razem według jednakożego programu, rozmawiano, dyskutowano, prowadzono kółka oświatowe — owa walka o święte prawo młodzieży do nauki w języku ojczystym, walka, do której stanęły dziewczęta w jednym szeregu z chłopcami, stała się cudownym terenem zbliżenia myślowego, ideowego, stała się cudownym terenem wzajemnego zbratania, poznania wzajemnego. Rozpoczęło się koleżeństwo — owe „kozy” tak się dzielnie spisały przecież, nie uległy się ani „klasowej” damy¹⁾, ani samego inspektora, ani sprowadzonej policji, na kompletach uczyły się wcale nie gorzej od chłopców, referaty na kółkach samokształceniowych też były do rzeczy, że pamiętam dziś jeszcze zdumione najpierw, potem pełne uznania spojrzenia naszych kolegów i tak się to odrazu jakoś zrobiło, że zamiast pan i pani zaczęło się mówić „kolego” i „koleżanko”. Mur chiński został przełamany. Wspólna lektura najcudniejszych powieści Żeromskiego, poezji Daniłowskiego, Struga, Kasprowicza, Wyspiańskiego i t. d., ach i Ibsena, wszystko to burzyło przesady na temat różnicy „człowieczeństwa”, a kiedy dorwały się do prozy mickiewiczowskiej, skrzydła u ramion rosy i słowa jego o posłannictwie kobiety głęboko zapadały w dusze.

Potem przyszła wojna. Czyż mam wspominać o udziale w niej kobiet całego świata, a zwłaszcza polskich kobiet,

1) Ongi wychowawczyni w szkole rosyjskiej.

tofelkami” i tylko między łyżkami konsumowanego specjału wyrzucał z siebie całe stopy opowieści tragicznych o treści ściśle dostosowanej do „wściekłego wieczoru”.

— A wiesz — zwrócił się w pewnym momencie do Janka — że twój Morus musiał się widać wściec, bo jak koło południa poleciał gdzieś w pole to jeszcze nie wrócił, a podobno zębami kłapał, że strach. Dobrze jeszcze, że kogo nie pogryzł!

Tak więc stało się, że nieszczęśliwy Janek zapominając o głodzie mimowoli przysłuchiwać się zaczął opowieściom wuja o początkowych objawach owej strasznej choroby; w dreszczach w krzyżu, cierpieniu rąk i nóg, a przy sposobności o tem, jak to sąsiad, pan Kowalski, ze trzydzieści już pewno lat temu, Panie świeć jego duszy, i tak dalej i dalej.

Nagle pani gospodyni jęknęła boleściwie: „Nie daj Boże, żeby w złą godzinę i pośpiesznie zaczęła zgarniać karty.

Janek drgnął.

— E, toby tam w karty wierzył panie Janie — zwróciła się doń z pośpieszną perswazją pani Kalinowska — ja tak tylko sobie dla żartu...

— Pani to niech sobie z cudzego nieszczęścia nie żartuje — przerwał jej gniewnie wuj Wincenty — bo niewiadomo dnia, ani godziny...

I, trzeba specjalnego pecha, że w tym właśnie momencie do pokoju wszedł zafrasowany pastuch niosąc w wyciągniętej ręce depeszę.

— Bo tu proszę pana telegrama — zaczął drapiąc się nieporadnie za uchem.

— Jezus Marja! Nowe nieszczęście — wrzasnęła przeraźliwie pani Kalinowska; a wuj Wincenty podbiegł do Janka z wyrazem współczucia na twarzy, pragnąc go wyręczyć w odczytaniu tragicznej wieści. Lecz Janek miał już dość. Powiódł tylko po obecnych roztargnionem spojrzeniem i z depeszą w rękę wyszedł do swego pokoju.

Był doprowadzony do stanu takiego zdenerwowania, że on zdrowy i wesoły z natury dwudziestoletni chłopak trząsł się jak histeryczka i nie mógł się odważyć, aby przeczytać trzymaną w rękę depeszę.

— Żeby nie w złą godzinę — mruknął z niechęcią — i równocześnie uczył w krzyżu jakieś niesamowite dreszcze, a w rękach i nogach niemoc. Bezwładnie padł na krzesło, wsparł głowę na rękach i zanurzył się w bezmyślnej zadumie.

Zbudził go z niej jakiś łoskot i pisk w kuchni, a następnie rozpaczliwy krzyk pani Kalinowskiej: „Pies! Ratunku, wściekły pies!”.

Janek pochwycił z roztwartej szuflady stolika rewolwer i wypadł do pokoju stołowego, podrodze wywracając z hałasem krzesło.

Znalazłszy się w pokoju oślepiiony blaskiem lampy, bowiem czas dłuższy przebywał w ciemności, zatrzymał się mrużąc oczy, tak nieszczęśliwie jednak, że ręka z rewolwerem zwróciła się w stronę wuja Wincentego.

— Boże drogi! I ten — jęknął staruszek i porzuciwszy pozycję obronną na kanapie (schronił się tam przed psem) z młodzieńczą chyżością zniknął w drzwiach wiodących do jego pokoju.

i dziewcząt, które wykazały tyle mocy, hartu i bohaterstwa. Czyż mam wspomnieć o uczniach i pensjonarkach, co do dziejów po wsze czasy, jako „orleńskie lwowskie przeszły? Przeszedł straszliwy kataklizm dziejowy, rozpoczęła się nowa era, przewartościowały się najbardziej uświęcone pojęcia. Żelazne prawo życia kazało kobiecie wyjść z domu, pracować w pocie czoła, tak samo, a może ciężiej, aniżeli mężczyźnie. Niema już dziś posagów i dziewczęta nie czekają tylko na męża, tak jak ongi, ale sposobią się do życia samodzielnego, bo muszą liczyć tylko na siebie. Pracują wszędzie w handlu, przemyśle, w szkolnictwie i na roli, w ambulatorjach, fabrykach, laboratorjach, uniwersytetach. Spotykamy je we wszystkich dziedzinach pracy społecznej, ideowej, kulturalnej, naukowej. Nie ustępują w niczem mężczyźnie, częstokroć przewyższają go większym poczuciem odpowiedzialności i humanitaryzmem. Zmienił się stosunek rodziny do córki. Otworem stanęły dla niej szkoły średnie i wyższe, stadiony, boiska, olimpiady. Na zachodzie coraz częściej piastuje najwyższe stanowisko do ministra włącznie. Staje i dla niej, dla dziewczyny otworem cały świat. Staje przed nią ogrom zadań i obowiązków. Dorównywa mężczyźnie, zmusza do uszanowania w niej człowieka o równych prawach do życia w najlepszym i najdonioślejszym tego słowa znaczeniu. Spotykają się dziś ci nowi koledzy i koleżanki w komisjach międzyszkolnych, w harcerstwie, w ośrodkach wychowania fizycznego, przysposobienia wojskowego, w kołach oświatowych, w świetlicach, przy starcie, na boiskach. Czy są w stosunku do siebie kolegami i koleżankami? Czy rozumieją całą doniosłość zmian, jakie zaszły w ustosunkowaniu się wzajemnem mężczyzny i kobiety? Pokutują dziś przecie jeszcze w tylu rodzinach owe zamierzchłe poglądy na temat tego, że chłopiec to jednak coś wyższego, że to jednak przyszły pan stworzenia, ciągle jeszcze, mimo olbrzymiego udziału kobiet na wszystkich polach pracy, tylko wyjątki z pośród nich mogą piastować wyższe stanowiska, ciągle przecież słyszy się, że brak ludzi, a przecież tyle kobiet godnych jest, aby zajmować te urzędy, czy stanowiska, na których spotykamy niekiedy nieodpowiednich mężczyzn. Czy młodzież dzisiejsza, przyszli budowniczowie Polski, zdaje sobie sprawę z tego, że powinna kiedyś tę niesparwedliwość wyrównać? Czy zdaje sobie sprawę z tego, że te dzielne wartościowe, odważne koleżanki powinny stać się kiedyś koleżankami w pracy państwowej i obywatelskiej?

Czy rozumie, że oni, przyszli prawodawcy może, powinni dopuścić do równego udziału w pracy u podstaw te dzi-

siejsze dzielne harcerki, dzielne koleżanki, szlachetne współzawodnictwo z którymi musi budzić uczucia szacunku i uznania — owo koleżeństwo przecież to bodaj najpiękniejsza forma współżycia. W literaturze ostatnich lat podniesiono je do godności ideału. Owo koleżeństwo to znaczy współpraca i życzliwość ludzka i wyrozumiałość i przeświadczenie o równych prawach, ale i równych obowiązkach, — najgłębsze przeświadczenie, że niema podporządkowywania się sobie, ale jest współżycie i współpraca. Tak pojęte walory owego koleżeństwa współdziałają powstaniu cudownej atmosfery pracy, czynią z tej pracy coś radosnego, dobrego. Niema zawiści, ani materialnej rywalizacji, ale jest ciągły i bezustanny wysiłek, aby dać z siebie maximum energii, dobrej woli i wysiłków. I myślę, że tylko na tej drodze ciągłego brania się i zbliżania w drodze do ważnego celu, jakim jest dobro własne, ściśle z dobrem Państwa związane w drodze rozumienia się i „kolegowania“, w tak pojętej pracy polepszą się dusze ludzkie i polepszą się prawa nasze, i umocnią granice, którym nikt i nic grozić nie będzie wtedy, jeżeli będą wszyscy uświadomionymi, pełnowartościowymi obywatelami i obywatelkami. A droga do tego przez koleżeństwo prowadzi.

Janina Strzelecka

HALINA PISKOZUBOWA.

Czarny rycerz

Zapienił się w kielichach
Słonecznych jagód sok —
Odjechał czarny rycerz
Odjechał w noc i mrok —
Wenecki puhar cudny
Rozzłocił się i pękł —
Zadrgały skrzydła krucze —
Gdzieś z kąta wyrzał lęk —
Odjechał czarny rycerz
Odjechał w mrok i noc —
Zamknęła się, jak wieko,
Dziwacznej baśni moc —
Odjechał czarny rycerz,
Odjechał w mrok i cień —
Ze słońcem wróci. Wierzę —
Na nowy czekam dzień. —

Janek usłyszał jeszcze jakiś tupot, krzyk i zdyszany, sapiący oddech bardzo tęgiej pani Kalinowskiej, zgrzyt klucza w drzwiach pokoju wuja Wincentego i został sam ze swym ulubionym Morusem.

Pies stał o parę zaledwie kroków odeń. Miał wygląd zdziwiony i, jakby przerażony tym nagłym hałasem i ucieczką.

Janek przyglądał mu się bacznie i ze współczuciem. Przecież i on ma zginąć pokonany przez tę samą ohydłą chorobę. Poczł, że prócz dawnej, jeśli tak można nazwać stosunek człowieka do zwierzęcia, przyjaźni łączy ich teraz jeszcze wspólna niedola. Dlaczego więc ma się obawiać tego nieszczęśliwego zwierzęcia? Jeśli i tak ma umrzeć, a był tego prawie pewny, gdyż coraz wyraźniej odczuwał sympatymaty choroby, to już przyjemniej będzie zrobić to w towarzystwie starego i tak bezwzględnie mu oddanego przyjaciela — Morusa.

Wziął ze stołu lampę i nawołując psa za sobą wrócił do swego pokoju.

Znów usiadł przy tym samym co poprzednio stoliku i puścił wodze fantazji. Pies tymczasem zachowywał się zupełnie spokojnie nie zdradzając żadnych objawów choroby. Rozejrzał się po pokoju, kilkoma drapnięciami tylnej łapy poskromił niepokojących go sublokatorów i znudzony podszedł do swego pana kładąc mu poufale głowę na kolanach. Janek spojrzł na jego dobrą, kosmatą fizjonomję i pieszczotliwie pogładził go ręką. Wtedy właśnie wzrok chłopca padł na porzuconą w pośpiechu depezę. Leżała na podłodze kusząc go urokiem tajemnicy. Pod-

niósł ją rozdarł i przeczytał z zacięciem: „Przepraszamy za pomyłkę, numer pański 316 wścieklizna wykluczona“.

Janek przygląda się depezy ze zdumieniem niemal. Jaktó wykluczona... a on myślał... i nagle wrzasnął na cały głos: „Hiphip hura!“ i jak szalony zerwał się z miejsca. Z hukiem rozwarły się obie połowy drzwi i Janek wypadł ze swego pokoju. Zatrzymał się dopiero u drzwi wuja Wincentego. Były zamknięte na klucz. Walił więc w nie pięściami krzycząc równocześnie: Wuju! Wuju!“ Jednak wewnątrz panowała cisza. Usłyszeć można było tylko jak ktoś cichutko przeczapał przez pokój, a potem zgrzytnęło dyskretnie otwierane okno.

— Wuju — wołał Janek — pies nie był wściekły. To pomyłka, odwołali w depezy!

— O, to dobrze, bardzo dobrze — odpowiedział dopiero teraz drżący głos wuja Wincentego — a ja myślałem, żeś ty... no, tego, żeś zachorował.

A po chwili jeszcze jednak nie otwierając drzwi z klucza troskliwie: „Idź już spać, mój kochany, już późno, a jutro zatelefonuj jeszcze do Warszawy, żeby sprawdzili, bo to widzisz...“

— Wiem, wiem — przerwał mu Janek wybuchając śmiechem... — nie wiadomo dnia, ani godziny!

M. O.

ZAKŁADAMY ŚWIETLICĘ!

(Urywek dyskusji — do dalszej dyskusji).

Kiedy nam kolega Janek Z. rzucił pytanie, czy nie byłoby dobrze założyć w naszej szkole świetlicę, — zawrzało najpierw, jak w ulu, a potem nastąpiło głębokie, jak studnia artezyjska, milczenie.

Milczeliśmy ,gdyż, Bogiem a prawdą, żaden z nas nie wiedział, jak ma wyglądać owa świetlica; gorzej jeszcze, żaden z nas nie wiedział, co to właściwie jest.

A tu kolega Janek przyciska do muru: — Wypowiedźciez się! — W końcu mówi: — Czyżbyście nie wiedzieli, co to jest świetlica?

Tedy jeden z najmłodszych powiada:

— Ja wiem! Przecie jestem ze wsi. W każdej chacie chłopskiej jest świetlica. Zwykle w chatach po jednej stronie sieni jest izba z kominem, gdzie gotują, jedzą, siedzą cały dzień, a nawet śpią, a po drugiej izba przystrojona obrazami świętych, wycinankami, i tam przyjmuje się najszanowniejszych gości: organistę, starszych sąsiadów, swatów. To właśnie jest świetlica.

— Ot, — myślę sobie — powiedział, co wiedział! Przecie nie taką świetlicę miał na myśli Janek.

Aż tu drugi, syn oficera, wyjaśnia, że gdy odwiedzał ojca w pułku, to mu ojciec pokazywał świetlicę żołnierską w koszarach. Była to obszerna sala, widna, czysta, ozdobiona portretami bohaterów, zastawiona koło ścian ławami i stolikami. Na stolikach szachy, warcaby, gazety. Tam żołnierze zbierają się w popołudnia niedzielne i świąteczne, czytają, piszą listy do rodziny, bawią się w różne gry towarzyskie, czasem słuchają koncertu, czasem urządza się im przedstawienia, lub odczyty.

To byłoby niezłe, mówi któryś. W niedzielne popołudnie, gdy człowiek skończy z przygotowaniem lekcji na dzień następny, a nikt z kolegów nie zajrzy, ani też nie ma się do czytania nic zajmującego, bywa czasem rozpaczliwie nudno. Gdyby się miało taką świetlicę, możnaby tam spotkać się z kolegami, pogawędzić, jeden zagrałby na pianinie, inny wypowiedziałby jakiś wiersz, byłoby wesoło i przyjemnie.

I już byliśmy gotowi zainicjować świetlicę na wzór owej żołnierskiej. Ale Janek siedzi, milczy, wzrusza ramionami. Więc pytamy go, o co mu właściwie idzie.

— Nie wiem — powiada — czy zdołam to ująć należycie; nie wiem zresztą, czy w istocie nie byłoby dobrze zacząć od takiej świetlicy, o jakiej mówił Kazik, ale przyznaję, że to, o czym myślę, jest to coś zupełnie innego. Mnie nie zależy na tem, czy zbierać się będziemy w takim, czy innym pokoju, w domu prywatnym u kogoś z nas, czy w szkole, czy latem np. w ogrodzie, lecz idzie mi o określenie celu naszych zebrań. Zapewne, jesteśmy młodzi, należy nam się rozrywka, więc słuszną jest rzeczą uwzględnić w świetlicy i rozrywki, muzykę, śpiew, przedstawienia amatorskie, nawet sport, o ile nie mamy go w innych kołach. Ale przecie w świetlicy może i powinna być też wspólna myśl, jakaś wspólna praca!

Tu ozwały się głosy sprzeciwu: — pracy mamy dosyć (aż nadto!) w szkole. Z trudem możemy wydzyszyć z przygotowaniem lekcji na dzień następny, a ten jeszcze z pracą w świetlicy wyjeżdża!

Janek jednak nie ustąpił:

Nie o takiej pracy myślałem. Jesteśmy młodzi, jak powiadam, więc powinniśmy patrzeć na świat młodem, ciekawemi oczyma! Powinniśmy dążyć do poznania, jakimi drogami płynie życie. Mam wrażenie, że koło nas dzieje się mnóstwo niesłychanie ważnych rzeczy, powstaje mnóstwo niesłychanie palących zagadnień, których szkoła nie może brać pod uwagę i o których my nic nie wiemy. Pracujemy dużo, to prawda, ale jak? Uczymy się z dnia dzisiejszego na jutrzejszy, a jutro uczyć się będziemy na pojutrze. Tymczasem życie płynie, zmienia się, przetwarza; my uczniowie starszych klas, jesteśmy już o krok zaledwie od tego nurtu; czyż nikogo z nas nie obchodzi, w którą stronę i z jakim rozpędem popłynie, lub na jakiej mieliźnie osiedzie? Przecie tak dalej trwać nie może! I właśnie myślę, że zespół młodzieży, żyjącej z sobą, zgranej, mającej mniej więcej jednakie przygotowanie umysłowe i jednakie ideały, powinien wziąć sobie za cel przemyślenie i przedyskutowanie choćby niektórych z tych aktualnych zagadnień. Taki właśnie zespół może pracować na terenie świetlicy. A oprócz tego w naszym kołku możemy się i bawić, i gawędzić, i od czasu do czasu podczas świąt urządzać wspólną wycieczkę, przedstawienie, czy wieczorek tańczący, na który zaprosimy

znajomą młodzież. Słowem, o świetlicy myślałem, jako o ognisku, w którymby ześrodkowało się nasze życie zarówno duchowe, jak i towarzysko-kulturalne.

Skończył Janek; po długiej chwili odezwał się Stach:

— Wszystko to jest słuszne. Nie przeczę, że my, młodzież dorastająca, ogromnie mało i rzadko myślimy i dyskutujemy nad najważniejszymi zagadnieniami życia. Gdy zaś ktokolwiek z nas próbuje myśleć o tych sprawach, które go najgorzej obchodzą, czuje się wówczas najzupełniej samotny; często bowiem i w domu własnym nas nie rozumieją. Ale stworzyć zespół zwarty, któryby chciał i umiał te zagadnienia opracowywać, nie jest wcale tak łatwo. Popierwsze, jak już powiedziano, jesteśmy przeładowani materiałem szkolnym, który bądź co bądź przerobić musimy, a taka praca świetlicowa również wymaga czasu. Trzeba to i owo przeczytać, zreferować, pogłębić. Kiedyż na to czas znajdą ci, szczególnie mało zdolni, którzy całe popołudnia i wieczory ślęczą nad lekcjami. Powtóre, każdy z nas należy już do mnóstwa stowarzyszeń na terenie szkoły, do harcerstwa, do Czerwonego Krzyża, do Przystosobienia Wojskowego, do kół sportowych, krajoznawczych i t. d. Wreszcie, gdyby nawet znaleźli się w szkole chętni do pracy w świetlicy, czy wiemy, od czego mamy zacząć, co postawić na pierwszym planie, a co na dalszym? I jak pracować bez odpowiedniego doboru książek? Są zagadnienia, do których całych bibliotek potrzeba. Skąd je weźmiemy?

Jak to często bywa, krytyka właśnie pobudziła głosy przeciwnie. Zaczęła się dyskusja. Poruszaliśmy głównie trzy sprawy. Po pierwsze, czy, zasadniczo, taka świetlica, o jakiej mówi Janek, jest nam potrzebna? Po wtóre, jakie formy organizacyjne będzie miała, gdzie ją urządzić, w które dni, jak rozłożyć czas między rozrywką i pracą, co będziemy w świetlicy robili i nad czem dyskutowali. Potrzebie, czy w razie założenia świetlicy nie należy związać z nią biblioteczkę podręcznej? Wreszcie wyłoniło się zagadnienie całkiem nowe: czy, dobierając członków świetlicy, należałoby ograniczyć się do uczniów jednej tylko szkoły, a jeśli nie, to czy tylko do uczniów szkoły średniej ogólnokształcącej? Wszak są oprócz nas szkoły średnie zawodowe, seminarja, handlowki. Moglibyśmy tworzyć koła międzyszkolne. Stykając się z młodzieżą innych szkół, moglibyśmy natrafić na te zagadnienia, które interesują młodzież wogóle, bez względu na zawód, który w przyszłości pełnić będzie.

Chciałem „Sternikowi” zreferować całą dyskusję; po naradzie jednak z kolegami doszliśmy do wniosku, że zbyt wiele jeszcze mamy do przemyślenia na ten temat, aby już dzielić się gotowymi i dość pośpieszonymi wnioskami. Pragniemy, aby inni koledzy wypowiedzieli się również; może z wymiany zdań wyłoni się jasne pojęcie świetlicy szkolnej.

H. S.



Na nartach (rot. p. St. Zyberg-Plater).

WIGILJA W TATRACH

Obrzydło mi miasto — nie mogłem już słuchać pokrzykiwania samochodów i monotonna dzwonków tramwajowych. Nieskończone rzędy kamienic przytłaczały mnie swoim odrapanym ogromem. Złe było i smutno. Postanowiłem choć na kilka dni wyrwać się z Warszawy. Czyż było w tym coś dziwnego, że moje nieodwołalne postanowienie zapadło właśnie na kilka dni przed tradycyjną „wigilią” i świętami Bożego Narodzenia? Myślę, że nie. Święta spędzałem już dwadzieścia pięć lat z rzędu „w domu”, najwyższy był czas wprowadzić w ten szemat jakąś odmianę. A możeby tak uczcić je tym razem gdzieś w zapadłej „dziurze” polskiej? Może nad zamrażniętym jeziorem Wigierskim? Nie! Więc w górach! Oczywiście, tylko w Tatrach. Każdy ma prawo pomyśleć: „czysty warjat, poco właściwie w górach?” Mam na to odpowiedź! Jaką? Bardzo prostą: — fantazja! Tak, najwyczejniejsza fantazja. Wolno komuś zbierać marki, innemu kolekcjonować pudełka od szuwaksu, dlaczego mnie nie miało być wolno spędzać „wigilji” gdzieś w samotnym, pustym schronisku tatrzańskim.

Wyjechałem do Zakopanego.

Szybko przemknąłem rozbawionymi ulicami tatrzańskiego miasteczka i, nie zatrzymując się nigdzie po drodze, ruszyłem do serca gór.

Droga prowadziła doliną Kościeliską do Pysznej Hali — celu mojej podróży. Znajdowała się tam samotna i opuszczona chatynka góralska, gdzie chciałem zamieszkać zdala od świata i ludzi.

Ponieważ dni zimowe są krótkie, a do chaty było więcej niż dwie mile trudnej drogi, więc musiałem się bardzo spieszyć.

Z początku szedłem znanym i udeptanym szlakiem. Potem jednak duch przekory zagnał mnie na manowce. Tyle miesięcy trzeba było chodzić wyciągniętymi liniami ulic, że zapragnąłem bezdroży. Co chwila zapadałem się w zawalone śniegiem wykroty, lub potykałem o pnie drzew, wyrwanych z korzeniami przez ostatni huragan. Czasami spadała mi na kark czapa puszystego śniegu, rozpylając się w mgłę srebrzystego pyłu. Przeładowany plecak gniótł mnie niemiłosiernie.

Na obu stronach drogi piętrzyły się niemal prostopadłe skały wapienne. Zdawało się, że kolosy te nie utrzymają równowagi i lada moment runą mi na głowę. Wokół kamiennych gigantów tańczyły śnieżne tumany, podobne do odalisek, spowitych w białe szale i pływających przed swoim panem i władcą.

U podnóża ścian górskich wyrastały smereki. Śmigłe i wysokie na dnie doliny, w górze karłowaciały i marniały, ażeby wreszcie na samych szczytach zamienić się w przyziemną kosodrzewinę.

W niektórych miejscach, gdzie na kamiennych i stromych zboczach nie było szczypty hymusu, otwierały się nagie przestrzenie skał i zasypanych śniegiem łąk górskich.

Krótki dzień zimowy miał się ku końcowi. W dolinie robiło się coraz mroczniej i tylko wierzchołki gór błyszczały w pomarańczowym świetle zachodzącego słońca. Trzeba było przed zmrokiem dotrzeć do schroniska, gdyż nocleg w lesie, w czasie zadymki śnieżnej, groził niechybnie zmarznięciem.

Dotarłem wreszcie do celu. Z gęstwy ciemnych smereków wyłoniła się skromna chatynka gorska. Stała ona nad brzegiem wartkiego strumyka, w otoczeniu wielkich i smutnych drzew iglastych. Nieco wyżej las się kończył i rozpoczynała się ogromna polana, zwana Pyszną Halą. Cały ten przytulny aczkolwiek zimny zakątek był okolony ze wszystkich niemal stron pasmami śnieżnymi i niedostępnymi gór. Jediną drogą, łączącą go ze światem zewnętrznym, była wąska ścieżyna, biegnąca doliną Kościeliską.

Ponieważ mój pobyt w górach przypadł na okres przed świętami Bożego Narodzenia, w którym turyści nie urządzają

dalszych wycieczek, miałem więc pewność, że nikt nie zakłóci mojej samotności.

W chacie było pusto i zimno. Drewniane prycze, stół, ława, dwa stołki, kilka sienników, miednica i lampka naftowa — oto umeblowanie tej górskiej pustelni. Z kątów wiał chłodem i wilgocią. Na szczęście w izbie był piec, a w komorze znajdowały się nieocenione skarby w postaci kilkunastu olbrzymich kłód drzewa. Tzeba je był wprawdzie porąbać, ale mając pod ręką siekiere, mogłem to łatwo uskutecznić. Natychmiast wziąłem się do roboty. Nie minęła godzina, a już koło pieca piętrzyła się pokaźna kupa drzewa. Papier i gałązki suszu posłużyły za podpałkę. W kilka chwil później buzował w kominie ciepły i miły ogień. Izba poczęła się z wolna nagrzewać.

Nareszcie mogłem zdjąć buty i zmarznięte na kość skarpetki, które dopiero z wielkim trudem udało mi się ściągnąć. Długo musiałem nacierać nogi śniegiem, zanim żywsze krążenie krwi pozwoliło mi znów odczuć istnienia dolnych kończyn. Smugi ciepła, płynące od pieca, dokonały dzieła mojego odrodzenia.

Trudno opisać rozkosz, jaką daje człowiekowi zziębniętemu płonący komin. Na dworze szaleje śnieżna zawierucha, igiełki lodowe kłują niemiłosiernie, tumany śnieżne biją w zamknięte okiennice, a w izbie tak ciepło i przytulnie... Drzewo trzaska i pyka raz po raz; ze smolnych bierwion wyskakują złotawe płomyki. Atmosfera błogości i spokoju obejmuje nas z wolna i każe zapominać, że istnieje jakiś świat zewnętrzny, że gdzieś daleko dobijają się ludzie czegoś, giną i zwyciężają... Dobrze jest i miło.

Długie godziny wieczorne spędziłem na ławie przy ogniu, aż wreszcie zmożył mnie sen.

Wypoczęty i pełen świeżej energii zerwałem się o świcie z mojego legowiska. Pobiegłem się kąpać do strumyka. Mróz kłuł dotkliwie. Mokre kosmyki włosów zamieniły się w sopie lodowe, a ręce tak zgrabiły, że z trudem włożyłem odzienie. Potem jednak odczułem taką rzeźwość, jakby mnie zgalwanizował prąd milionowoltowy.

Rozejrzałem się po okolicy. Na wschodzie piętrzyły się Sive Turnie. W lecie ich trawiaste zbocza nie przedstawiały nic groźnego, jednak w zimie, przysypane śniegiem, wyglądały dostojnie i majestatycznie. Z poza Turni wyglądało słońce, strzelając złocistymi promieniami. Niektóre z nich osiągały smerczanych czubów i przyozdabiały je w królewskie, błyszczące korony. Czasami spadała z szumem wielka czapa śniegu, strącona z gałęzi palącym dotknięciem słonecznym. Kontrast złota, srebra i ciemnej zieleni igieł choinowych, na tle przeczystego powietrza górskiego, dawał niezrównaną grę światła i cieni. W niemym zachwycie wchłaniałem w siebie urok zimowego poranka.

Cały dzień minął mi na ciężkiej pracy. Chcąc mieć przyjemny wieczór, musiałem zgromadzić dostateczny zapas paliwa. Ładnych parę godzin minęło, zanim mogłem porzucić robotę, bez obawy zmarznięcia w nocy.

Następnie zabrałem się do przygotowania wygodniejszego legowiska. Pod jednym kocem, nawet przy piecu było bardzo zimno, postanowiłem więc przykrywać się siennikami, leżącami beużytecznie w kącie izby. W nocy przekonałem się, że pomysł był wysmienity.

Dopiero na drugi dzień mogłem udać się na wycieczkę. Zamknąłem chatę na cztery spusty i zacząłem wdrapywać się na przełęcz Pyszniąską. Ponieważ śnieg sięgał pasa, a ja nie miałem nart, więc dopiero po 5-ciu godzinach nadludzkich wysiłków mogłem dotrzeć do grzbietu przełęczy. Widok, jaki tam ujrzałem, wynagrodził mi w zupełności wysiłki. Już po czeskiej stronie (przełęcz Pyszniąska znajduje się na granicy polsko-czeskiej) widać było ogromną dolinę, zacerzoną ciemną smugą lasów. Zbocza jej mieniły się w słońcu miliardami srebrzystych pyłków. Leciutki wietrzyk podnosił od czasu do czasu dymki śnieżne, które, naświetlone słońcem,

wyglądały jak bajeczne zjawy z szekspirowskiego „Snu nocy letniej”. Długo delektowałem się tą prawdziwą orgją piękną i dopiero noc zagnała mnie do chaty.

I tak mijały dni za dniami, jedno piękniejsze od drugich, aż wreszcie nadeszła Wigilja Bożego Narodzenia. Pomimo wielkiego mrozu (—23 st. Celsjusza), udałem się na poszukiwanie choinki. W pobliżu schroniska rosły tylko olbrzymie smereki; małe drzewka znajdowały się dopiero za rzeką, na stokach Siwych Turni. Poszedłem tam. Droga prowadziła przez zwalony pień drzewny, łączący niby most oba brzegi strumienia, następnie zaś, — przez zasypane śnieżne i rozdoły. Dotarłem wreszcie do miejsca, gdzie rosły karłowate smereczki. Uciąłem jeden z nich i, po długich tarapatach, dowlokłem się zpowrotem do chaty.

Umieściłem drzewko w kącie, między ścianą a piecem. Wyciągnąłem z plecaka świeczki, lichtarzyki, pierniki, jabłuszka, zimne ognie i złociste nici, poczem zabrałem się do ubierania choinki. Stała wreszcie w kolorowym rynsztunku — cudowne, tradycyjne drzewko. Jak dziecko cieszyłem się z tego dzieła.

Choinka jednak choinką, ale trzeba było przyrządzić niemniej od niej tradycyjną ucztę świąteczną. Niezdarnie mi to szło i powoli — ot, jak w „kawalerskim gospodarstwie”, w końcu wszystko było gotowe. Na pierwsze danie poszła menażka makaronu, niesolonego wprawdzie, ale zaprawionego wilczym apetytem. Drugie danie, złożone z konserw, podzieliło rychło los pierwszego. Deser, w postaci kompotu, przeminął również „jak sen jaki złoty”. Dopiero wino, bakalje i herbatę konsumowałem w zwolnionem nieco tempie. Biesiada wigilijna była skończona.

Zapaliłem świeczki i zimne ognie. Zabłyły migotliwe światełka i posypał się srebrzysty deszcz, rozświetlając magicznym blaskiem zadymione wnętrze izby. Dziwne jakieś i radosne uczucie przeppełniło moje serce. Zda się, że wróciła mi sielsko-anielska wrażliwość lat dziecięcych. Gdzieś z głębi serca popłynęły rzewne kolendy...

Przed snem poszedłem na spacer. Na rozgwieżdżone niebo wtoczył się już księżyc i rzucał między ciemne chojary garście żywego srebra. Szukałem w przestworzach „mojej” gwiazdy. Nie było jej. Może spadła na tysiączną planetę i rozpałała się w pył kosmiczny?

Brnąc po skrzypiącym śniegu dotarłem do Pysznej Hali. Tonęła w jasnej poświacie księżycowej. W oddali dostrzegąłem widmowo-blade szczyty. Błyszczą i Starobociańskiego, podczas gdy w dole, w głębi doliny, czerniła się zbita masa smereków.

Cisza panowała ogromna. Nigdzie, w promieniu jakiejś mili, nie było człowieka. Widoczne nawet zwierzęta świętowały dzień Bożego Narodzenia Pańskiego, bo ani jeden odgłos nie dochodził z mrocznej puszczy. Spoglądając wokoło, miałem wrażenie, że tak musiało tu być tysiąc lat temu, że niepowstrzymany pęd cywilizacji nie sprofanował jeszcze tego dziewiczego zakątka polskiej ziemi. Te Siwe Turnie patrzyły na pochody Chrobrego na Węgry, dawały bezpieczne schronienie dla Janosikowej drużyny, tuliły do swego łona dumne orły skalne i zawsze były jednakie, niezmiennie...

Zimno zagnało mnie z powrotem do chaty. Ogień w kominie dogasał, ale rozżarzone węgle gadały do mnie jeszcze długo w noc. Marzeniami wybiegłem z tej chatynki, rzuconej w śnieżne góry, daleko, daleko... Myślałem o kimś droгим i tak bardzo kochanym. Cóż ona robi w tę noc zimową, wyskrzoną gwiazdami? Czy wspomina mnie, czy i jej szepczą coś czerwone węgle?

Lampka zgasła, ciemno było niemal zupełnie i tylko od czasu do czasu, gdy zamigotały żywiej główne, krwawa smuga wpełzła na ciemne ściany zadymionej izby, oświetlając ją niesamowicie.

Położyłem się spać. Otulony w koc i przykryty stertą sienników, zapadłem w sen. Ostatnie moje spojrzenie padło na rozgwieżdżone niebo, widocznie przez ogromną szparę w ścianie.

* * *

Nazajutrz trzeba było wracać do Zakopanego. Wczesnym rankiem wyruszyłem w drogę. W godzinę potem ujrzałem, jak z za drzew wyłoniła się postać narciarza.

— Dzieńdobry panu!

— Dzieńdobry panu!...

Skończyła się moja samotność. Na horyzoncie zamajaczyły pierwsze osiedla ludzkie.

Urok przysł.

Bohdan Lepecki

REKORDY WOLI

Dążenie naprzód, dążenie wwyż — to nakaz natury człowieka. Prześcignąć innych, prześcignąć samego siebie — to dla istoty ludzkiej rozkosz najwyższa. Postawić rekord — to cel najbardziej upragniony.

Postawić rekord! Użyliśmy terminu sportowego. I drogą asocjacji przypomina się przepyszny frazes wielkiego myśliciela sportowego Georgesa Prade: „Niech atleta uczyni krok jeden tylko naprzód — a za nim, z tyłu, wszyscy atleci, wszystkie narody, cała ludzkość krok takież sam uczynić musi”.

Sens głęboki leży w tym aforyzmie. Wyczyn wyjątkowy jednostki, nieuniknienie pociąga za sobą podniesienie poziomu przeciętnego. Każde wszystkim nieco dumniej podnieść głowę, wyżej siebie cenić — a więc i więcej od siebie wy magać.

Rekordy stawiać można na każdym polu: w dziedzinie nauki, na terenie sztuki, w pracy społecznej. Rekordami są wynalazki Edisona, teoria Einsteina, rekordem całe życie Marji Curie-Skłodowskiej, rekordem „Pan Tadeusz”; każda arja, śpiewana przez Kiepurę. Rekordem też — ; nie mniejszym — działalność niejednej szpitalnej pielęgniarki; niejednego nauczyciela ludowego.

Rekordy może stawiać ciało, mózg i serce. Najwięcej

jednak uderzają wyobraźnię i największy budzą szacunek, rekordy, które stawia wola.

Rekordy woli — to najchlubniejsze karty, to najcenniejsze klejnoty ludzkości. Ciało nasze jest wątłe, intelekt nasz jest ograniczony, serce słabe, tylko wola nie zna granic.

I dlatego ludzkość ma zanotowane w swych archiwach takie rekordy woli, z jakimi nic się chyba zrównać nie może.

Biegun południowy. Gdzieś tam daleko, wśród bezkresnej śnieżnej bieli, otoczony lodowymi górami, ponętny i tajemniczy. Czy ambicja człowieka, pana świata, mogła to ścierpieć?

W noc astralną podążyło, na przestrzeni pierwszych 10 lat XX wieku, 9 ekspedycji. Uczyniły wszystko, by dopiąć celu, nie ustąpiły przed żadnym niebezpieczeństwem, ze stoicyzmem przenosiły chłód i głód. Nordenskjöld, którego okręt zginął, wgnieciony między dwie lodowe góry, dzień miesiąc żył jak Robinson. Scott dwa lata spędził w ponurem i mrocznym królestwie mrozu. Inni nie ustępowali im swą gotowością poświęcenia, a jednak żaden nie doszedł do mety. Niemniej, sukces Shackletona, którego już tylko 179 klm. odgradzało od bieguna, pozwalał mniemać, iż powodzenie nie przekracza granic możliwości. To też, gdy 15 czerwca 1910 kapitan Scott wyruszył poraz wtóry na po-

ludnie, na czele ekspedycji, zaopatrzonej we wszystko, co tylko mogło być pomocnym nowożytnemu argonaucie, wrócono mu łatwy sukces, ani na chwilę nie wątpiąc w triumf ostateczny nad przyrodą.

Już straszliwa burza, wśród oceanu Antarktycznego, dowiodła, że Biegun niełatwo się podda. Następnie, podczas marszu po korze zamrzłej, podróżnicy skutkiem popękania lodów na całe 9 tygodni zostali odcięci od swej bazy. Przy wietrze o niesłychanej chyżości 40 m. na sekundę przez 14 godzin leżeli nieruchomo, kurczowo ściskając nad głowami targaną przez wichur płachtę namiotu. Gdy wreszcie wyczerpani, ulegli pozwalając wicherzynie unieść namiot, pozostały im tylko worki. W nich przeleżeli, przy temperaturze -60° Reaumura, 36 godzin, cierpiąc głód bez słowa skargi. Worki oblepione lodem doszły do 30 kilo wagi. Ubrania zamrzły również tak, że je trzeba było potem rozciąć, do zdejmowania.

Epizod ten, w zasadzie mało pozwala zdać sobie sprawę z tych trudności, z jakimi miał walczyć Scott.

Przebieg do przebycia wynosił w jedną stronę 1500 klm. Pierwsze 700 przejść miano po lodowej korze oceanu, 200 po nierównym grzbiecie lodowca Breadmore, na koniec 600 po płaskowzgórzu Antarktycznym. Przebieg tej ostatniej sfery utrudniał fakt, iż znajdowała się ona na poziomie 3000 m. — gdzie wysiłek każdy podwójnie męczy.

Od samego dnia wyjazdu, szczęście nie sprzyjało Scottowi. Utrata wszystkich kuców, zatonięcie jednych motorowych sań, zepsucie pozostałych, wyjątkowa niepogoda, wszystko to utrudniało mu zadanie. Mimo, iż szybkość pochodu spadła stopniowo z 15 na 6 klm dziennie, podróżnik walczył zawzięcie, bo wie, że biegun atakuje również Norweg Amundsen, a przecież Anglicy muszą być pierwsi!

Zostało ich pięciu: Scott, Evans, Oates, Bomers, dr. Wilson. Ciągłą uparcie sanie, wśród szalejącego huraganu. 16 stycznia, wypadł 75-ty dzień wędrówki. Biegun tuż, za ledwie kilka kilometrów. Idą z zapartym tchem. Widzą w dali — ledwie widoczny ciemny punkt, maleńka czarna plama na bezbrzeżnej bieli. Zbliżają się: to namiot, wokoło — ślady psów. Nad namiotem chorągiew norweska i na kartce piżę nazwisk. „Roald Amundsen, Olav Olavsen Bjaaland, Helman Hansen, Sarre Hassel, Oscar Wisting. 16 grudnia 1911”.

Bolesne, głębokie było rozczarowanie Scotta, lecz ani jedno słowo skargi nie znalazło miejsca w jego dzienniku.

Powrót. Sytuacja, przedtem więcej, niż niepokojąca, obecnie, gdy entuzjam zgasł, przedstawia się odrazu prawie beznadziejnie. Za 6 tygodni rozpoczyna się podbiegunowa zima — noc. Jeśli do tego czasu nie przebędą półtora tysiąca kilometrów — zguba pewna! Walczą wytrwale, ale Wilson zranił się, nie może ciągnąć sani, Oates odmraża łańkowicie obie nogi, ledwie może iść, Evans odmroził twarz, Scott ma zwichnięte ramię. Wreszcie Wilson, oślepiiony przez błyszczący śnieg, traci wzrok: idzie poomacku. Evans wpada do szczeliny i wskutek wstrząsu traci umysłową równowagę. Dotarli

nareszcie do lodowca Breadmore. Scott zarządza jednolity wypoczynek. Pomimo krańcowego wyczerpania, dzień ten zeszedł na wyszukiwaniu różnych okazów mineralogicznych, któreby mogły charakteryzować geologiczną strukturę gór...

Przebieg lodowca było zabójcze. Ludzie padali co chwila. Evans zakończył życie. Pozostała czwórka czołga się dalej. Dziennik kapitana Scotta zawiera już tylko suche, w telegraficznym stylu utrzymane, lecz jakże wymowne notatki:

„5 marca. Oates bez sił. Nogi Wilsona mnie także niepokoją”.

„10 marca. Oates, bardzo źle”.

„11 marca. Zostaje prowiantów na 7 dni. Mamy do przebycia 88 klm. Dziennie przebywamy 9600 m. 9600×7 daje 67,2 klm. Przypuszczając, że sytuacja się nie pogorszy, będziemy w konieczności przebyć 20,8 klm. o zupełnym głodzie”.

„14 marca. Pomimo wichru i temperatury -41° , w drogę! Będziemy walczyli do końca”.

Kapitan Oates błaga kolegów, by go porzucili. Prośba nie została wysłuchana. „Wieczorem — pisze Scott, Oates usnął w nadziei, że się nieobudzi. Pocięchy tej, niestety, nie doznał. Nazajutrz, wstał, powiedział wychodzę na chwilę, i zniknął nazawsze w śnieżnej zamieci. Kolega nasz zachował się, jak prawdziwy gentleman. Życzymy sobie wszyscy podobnej odwagi przed śmiercią”. 27 kilometrów tylko dzieli od zbawienia. Ale zrywa się burza niesłychana, ruszyć z miejsca nie sposób, a godziny naglą. 25 marca Scott pisze swój „list do publiczności” dokument wstrząsający jedną z najcenniejszych relikwii ludzkości.

List żołnierski, w którym wiersze są wyrównane, jak szeregi podczas defilady. List, w którym konający męczennik spokojnie metodycznie wyjaśnia przyczyny niepowodzeń ekspedycji: primo, secundo, tertio... A potem, te niezrównane ustępy: „Nigdy istoty ludzkie nie cierpiały tyle, ileśmy podczas ostatniego miesiąca przecierpieli... słabość nasza wzrasta; za ledwie zdolny trzymać pióro. Co do mnie, nie żałuję, że przedsięwziąłem tę wyprawę. Jest ona dowodem energii Anglików, solidarności ich; dowodzi, że i dziś tak jak i dawniej potrafia śmiało patrzeć w oczy śmierci.

„Złożyliśmy w ofierze nasze życie dobrowolnie; lecz było to dla sławy ojczyzny. Te proste słowa: nasze trupy oznajmiają o przebytych ciężkich przejściach i kraj, tak bogaty, potężny, jak Wielka Brytania, zapewni niezawodnie przyszłość naszych bliskich.

Bomers i Wilson umarli pierwsi. Scott pieczołowicie owinał ich skostniałe ciała, usiadł pośrodku namiotu, oparł się o słup i pogodnie oczekiwał śmierci.

Wahała się, szeptała coś cicho, na koniec weszła.

Na bezbrzeżnym białym polu stoi usypany z mroźnych głazów niewysoki kopiec. Nad nim krzyż. Na krzyżu krótki napis: „Walczyć, szukać, znajdować, nie ugiąć się nigdy”. Dewiza ludzkości

Wiktor Junosza.

(d. c. n.)

YPRES — VERDUN BELGJI

Na zachodnim krańcu Belgji nad rozlaną szeroko Izerą, wśród łąk i pól przeciętych niezliczoną ilością kanałów rozsiało się niewielkie, ale bogate i dumne ze swej niezależnej przeszłości miasto Ypres (łac. Ypra; niem. — Ypern, flam. — Yeperen)

Zbudowane przez hrabiów Flandrii przetrwało za potężnymi flankami i bastyonami swych murów niejedno oblężenie, niejedną kampanję...

Dobylali miasta królowie Francji i księżęta Burgundji, wojowali o nie z Gezami okrutny ks. Alba i Aleksander Parmeński, przyłączył je na czas jakiś do Francji Ludwik XIV; po nim Napoleon.

Mimo te przejścia i mimo gorszą od nich zarazę, która w końcu XV wieku spustoszyła miasto — Ypres, choć w toku ostatnich stuleci straciło na znaczeniu wobec szczęśliwszych sąsiadów: Lille, Armentieres,

Courtrai — pędziło żywot pracowity i beztronski w wąskich domkach o spadzistych, śmiesznie powycinanych dachach, u stóp wspaniałej katedry gotyckiej S-go Marcina, w której ongi biskup Jansenius głośił swoją herezję.

Ogromne sukienice z XIV wieku świadczyły o dawnej potędze i bogactwie yperskich mieszczan, a z wieżyc czterech głównych kościołów miasta wesołe dzwony wieściły ludowi dobrą nowinę.

Aż pewnego jesiennego dnia 1914 roku niewielka mieścina flamandzka zaroila się wojskiem. Od wschodu szedł grzmot dział nieprzyjaciela pracującego niepowstrzymanie naprzód, aby stanąwszy mocną nogą nad Pas-de-Calais przeciąć bezpośrednie połączenie między Francją i Anglią. i. podyktować upokorzonym Sprzymierzeńcom straszliwe warunki pokoju.

Pod Ypres, na ostatniej wolnej od Niemców piędzi ziemi belgijskiej miał się rozstrzygnąć, ów „wyścig do morza”.

Poniżej miasta ustępujący Belgowie zamknęli śluzę i całą dolinę Izery zamienili w wielkie, płytkie, niepodobne do przebycia jezioro.



Ulica Beurres przed wojną

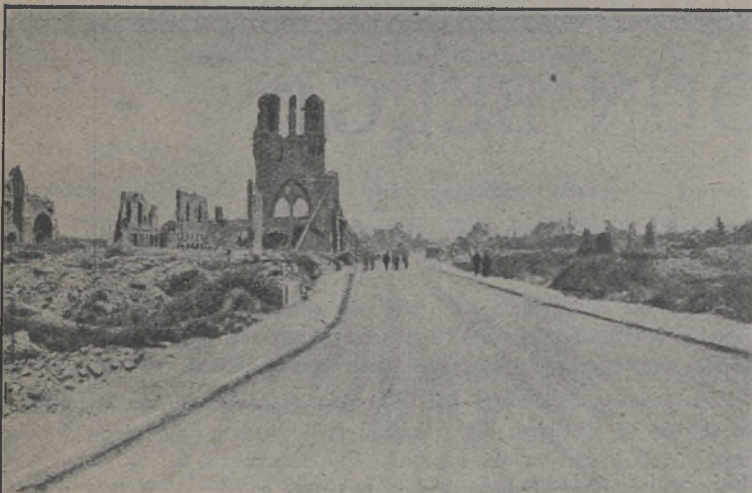
Bronić rozpaczliwej pozycji, oprócz niedobitków armii belgijskiej biorące pośpiesznie oddziały różnych broni i narodów. Siedem dywizyj niemieckich popartych przez 250 haubic i moździerzy nie licząc ogromnej ilości artylerji polowej uderzyło na zbieraninę Anglików, Hindusów, Marokańczyków i Kanadyjczyków. Nadbiegająca z pomocą bohaterska brygada piechoty marynarki upartego bretończyka kontr-admirała Roqr'ka, legła niemal do nogi broniąc bram miasta.

Niemcy nie przeszli.

Zatrzymali się na niewielkich wzgórzach opasujących półkolem Ypres w odległości paru kilometrów. Stamtąd przez długie cztery lata, codziennym ogniem niszczyli pracę dziesięciu stuleci i dobytek rąk ludzkich.

Runęła katedra Ś-go Marcina, zrównane zostały z ziemią Sukienice; stare mury miasta, które wytrzymały tyle oblężeń, zmieniły się w długie pasmo bezkształtnych rumowisk. Jedne po drugich padały w grzyby przechodzące z ojca na syna domki o stromych dachach.

Już z końcem 1915 roku Ypres przedstawiało jedno wielkie rumowisko a z 18.000 mieszkańców przed wojną pozostało około 300, wynędzniałych ludzi o błędnych oczach, nocą przekradających się do żołnierzy po okrucy jada.



Ulica Beurres w roku 1918.

Reszta uciekła z tego Sądu Ostatecznego, lub wyginęła pod gruzami swych domostw.

Przez cztery lata linja bojowa przebiegała w odległości mniej, niż 8 km od miasta.

Od czasu do czasu zrywały się gwałtowniejsze nawałnice. To sprzymierzeni usiłowali odeprzeć Niemców z ich wygodnych stanowisk to znów Niemcy starali się wyciągnąć zdobywcze ramię ku morzu. Spokojne wioski flamandzkie Langemarck, Palcapelle, Zanelwerde, Zonnebeke, Wytchaete ... przechodziły po kilkanaście razy z rąk do rąk. Bito się o każde kilkanaście metrów terenu, o ile można tak nazwać ziemię, którą pociski armatnie i szpadle saperów zamieniły w jedno wielkie oślizgłe bagnisko.

Zapamiętajmy sobie te nazwy, bo obok fortów Verdun, obok lasów Argońskich są to największe cmentarzyska ludzkie jakie znają dzieje.

Gdy w październiku 1918 roku fala najeźdźców odpłynęła na wschód, jeno kupa cegieł i kamieni znaczyła miejsce, gdzie wznosiło się ongi miasto Ypres, a na wiele kilometrów wokoło śmiejąca ongi Flandrja straszyla upiornością księżycowego krajobrazu.

* * *

Dzisiaj Ypres dźwignęło się z ruiny. Kościoły i domy odbudowane zostały według dawnych wzorów. Niedługo ostatnie rusztowania zostaną zdjęte z nowo wzniesionej katedry, której wspaniała iglica świadczyć będzie Bogu i ludziom o zwycięstwie życia nad śmiercią.

Bo Ypres żyje dziś i bogaci się dzięki tej śmierci, która szalała w ciągu lat nad miastem. Na miejscu dawnej Bramy Menińskiej wznosi się wspaniały pomnik ku czci żołnierzy brytyjskich poległych w obronie miasta. 58.000 nazwisk zabitych, poczynawszy od generała Fitz-Clarence, a skończywszy na najbardziej nieznanym szeregowcu. Z samego pułku Royal-Riffles, naliczyłem zgórą 1580 poległych.

Leżą oni na 210 cmentarzach znajdujących się na peryferjach miasta i w okolicy. Dziwny widok tych białych tabliczek, wszystkich jednako-



Pomnik poległych żołnierzy angielskich.

wych, pod którymi spoczywają obok siebie, zrównani w obliczu śmierci i strzeżeni przez niewielkie jeszcze cyprysy ludzie wszelkich warstw i stanów, ras i narodowości, stopni wojskowych, spędzeni na to potworne pobojowisko ze wszystkich krańców świata.

Okolice Ypres zawierają również śmiertelne szczątki 30.000 Francuzów i Belgów i przeszło stu tysięcy żołnierzy niemieckich.

A wśród tych ostatnich widziałem nazwiska Majchrzak, Bilski, Węciorek ...

Ile tysięcy takich Węciorków położyło tam swe młode życie, aby zniszczyć cudowne średniowieczne miasteczko Ypres!...

Do tych poległych ściągają rok rocznie pielgrzymki, jakich nie znano przed wojną miasto. Zamiast jednego skromnego zajazdu widzimy dzisiaj dwadzieścia wspaniałych hoteli. Witryny sklepów lśnią tysiącem fotografii i pamiątek.

Ci, którzy dziećmi będąc, uprowadzeni w bładem przerażeniu przez rodziców z gorejącego miasta — dzisiaj handlują pamięcią jego obrońców.

Lecz biada, jeżeli zapomną o grozie chwil minionych.

Z PRZYRODY I TECHNIKI.

C U D A F O T O C E L I

W technice współczesnej niezmiernie ważną rolę odgrywa komórka fotoelektryczna, w skróceniu zwana fotocelą, która znikome impulsy świetlne zamienia na impulsy elektryczne. Mały ten i w zasadniczej idei zadziwiająco prosty aparat dokonywa prawdziwych cudów: ostrzega mieszkańców samotnej willi przed bandytami, wstrzymuje pociągi w razie niebezpieczeństwa, niewidomym zastępuje lektora, w czasie mgieł doprowadza okręty do portów, powoduje wybuchy min a co najważniejsze stanowi zasadniczą część skiadową wszystkich aparatów telewizyjnych.

Wprost nieograniczone są możliwości stosowania fotoceli. Chemik szwedzki Berzelius, który w roku 1817 odkryciem pierwiastka selenu uczynił pierwszy krok na drodze do skonstruowania fotoceli nie przypuszczał zapewne, jak doniosłego dokonał czynu.

Pierwiastek ten, będący ciałem ciemno różowym, wydającym podczas ogrzewania zapach czosnku, był pierwotnie uważany za inny element chemiczny — seltur; gdy stwierdzono omyłkę nowy pierwiastek nazwano selenem, aby zaznaczyć, że towarzyszy on sellurowi, tak jak Księżyc (po grecku — selene), towarzyszy Ziemi (po łacinie tellus).

Selen topi się przy temperaturze 2170 C., a wrze przy 6600 C., zamieniając się na parę o barwie ciemnożółtej.

Już w przeszłym stuleciu cały szereg badaczy, jak: Siemens, Bell, Bidwell i Ruhmer zajmowali się badaniem własności elektrycznych selenu i wykorzystaniem tychże dla celów technicznych. Selen utrzymany w ciemności i przy niskiej temperaturze nie przewodzi elektryczności. Ogrzewany, po przekroczeniu 800 C, staje się coraz lepszym przewodnikiem.

Silniej jeszcze niż temperatura na stopień jego przewodnictwa działa oświetlenie. Już przeszło 50 lat temu zauważono tę własność selenu i wtedy już spodziewano się rozmaicie wykorzystać ją w technice. Długo jednak doświadczenia nie dawały pożądaných wyników.

Pierwszy eksperyment udany został dokonany w roku 1890 przez Bidwell'a. Wtedy już Bidwell używał dwóch prądów. Jeden prąd przebiegał przez komórkę selenową, która zależnie od oświetlenia, prąd przewodziła lub tamowała. Ten pierwszy prąd ze swej strony włączał drugi prąd silniejszy, który zależnie od zamiarów eksperymentatora mógł pobudzić dzwonek elektryczny do dzwonienia, zapalić lampę żarową, lub wykonać inną jakąś dowolną czynność.

Od tego czasu skonstruowano już cały szereg aparatów, przy których tajemnicza komórka selenowa odgrywała główną rolę. Pływające boje gazowe, umieszczone na morzu w miejscach niebezpiecznych, zostały zaopatrzone w regulatory selenowe, które zapalały automatycznie światła lampy z nastaniem ciemności. Konstruowano również świetlne telefony, ciekawe prototypy dzisiejszych aparatów radjofonicznych, które w promieniu 15 kilometrów pozwalały słyszeć głos ludzki bez połączenia stacji nadawczej i odbiorczej przewodami!

Na początku naszego stulecia Ruhmer skonstruował nadzwyczaj czuły fotometr selenowy, który po przeprowadzeniu pewnych modyfikacji, jest dziś jeszcze ważnym przyrządem do badania jasności światła gwiazd. Wcześniej też rozpoczęto próby zastosowania selenu do przesyłania obrazów i pisma na odległość, aczkolwiek telekino i telewizja radjowa, czyli „bez drutu” należy do najnowszych zdobyczy techniki, telefotografia „z drutem”, czyli przy połączeniu obu stacji przewodnikiem elektrycznym, stała się już możliwą zapomocą aparatów, konstruowanych w latach 1904 — 1907, przez profesora fizyki uniwersytetu monachijskiego, aparaty telekinowe, skonstruowane przez amerykańską Westinghouse Co, oraz Węgry Mihaly'ego. Nie zatrzymując się na kornowskich aparatach, konstruowanych 20 lat temu, omówimy odrazu aparat telekinowy Djonizego Mihaly, który został na początku bieżącego roku zademonstrowany w Berlinie.

Rzeczą zgoła niemożliwą jest przesłać odrazu cały obraz lub fotografię za pośrednictwem fal eteru; każdy bowiem obraz wysyła ogromną różnorodność plam ciemniejszych i jaśniejszych. Aby więc dany obraz wysłać drogą iskrową trzeba postępować, jak z dużą szafą, której żadnym sposobem nie można wnieść w całości po wąskich schodach. Wobec tego rozkładamy szafę na części, które przenosi się osobno i następnie dopiero na miejscu szafa zostaje złożona. Trzeba więc całą fotografię podzielić na maleńkie pola i następnie oddzielnie wysłać poszczególne promienie każdego pola do stacji odbiorczej. Tu zaś wszystkie te promienie zostają ułożone, podobnie, jak kamyczki w obrazie mozaikowym. Oczywiście w całym tym procesie pośredniczy maleńka fotocela elektryczna,

która pod wpływem promienia świetlnego wycieniowanego przez odpowiedni punkt taśmy filmowej, przepuszcza prąd o zmiennym natężeniu, który następnie wywołuje fale eteru, docierające do anteny aparatu odbiorczego. Odnośny aparat odbiorczy przejmując obraz przetwarza, po pośrednim wzmocnieniu energii falistej, drgania elektromagnetyczne na świetlne. Promień świetlny, zapomocą odpowiedniego urządzenia zostaje skierowany na mały ekran i pada dokładnie w miejscu odpowiadającym położeniu przenoszonego punktu. Należy jednak wspomnieć, że Korn swego czasu używał do budowy komórki fotoelektrycznej tylko selenu. Dzisiaj zaś przy fotoceli używamy zwykle innych metali, jak naprzykład caesium i sodu, mających podobne własności, jak selen. W każdym bądź razie selenowi zawdzięczamy to, że dzisiaj realizujemy telefotografię i telewizję.

Parę miesięcy temu udało się dwóm fizykom: Stolpinowi i Stillwilowi rozszerzyć zakres zastosowań komórki światłoczułej. Stworzyli mianowicie nową komórkę, która reagując na każdy kolor tęczy, umożliwiła telewizję barwną. Niezdążyliśmy jeszcze oswoić się z aparatami Mihaly'ego, Bairda i Karolusa, a już technika czyni pierwsze usiłowania rzutowania na ekran telewizyjny barwnych obrazów. Maluczko, a będziemy mogli telewizyjnym wzrokiem napawać się pięknem krajobrazów tropikalnych straż w ich naturalnym kolorycie, będziemy mogli zachwycać się Wschodem w całym jego przepychu barwności i t. p.

Jeszcze ciekawsze zastosowanie fotoceli pozwala nam na powiększenie bezpieczeństwa przy jeździe koleją. Bardzo częste są katastrofy, które następują wskutek przeoczenia ostrzegawczego sygnału. Oddawna więc technicy głowią się nad zagadnieniem, jakim sposobem uniemożliwić omijanie sygnału.

Najrozmaitsze projekty dawały przeważnie niedostateczne wyniki. Wprost, jak z bajki wyjęta jest wiadomość, że na kolejach bawarskich zaprowadzono nowy sposób zatrzymywania pociągów, na wypadek nieuwagi maszynisty, sposób przy którym główną rolę odgrywa promień świetlny. Nieprawdopodobnym wydaje się, że kilka tysięcy ton, pędzących z zawrotną szybkością stu kilometrów na godzinę zwalnia bieg, gdy ledwo widoczny promyk napotka światłoczułe miejsce żelaznego kolosa. A jednak zasadniczo całe urządzenie jest bardzo proste.

Przy maszcie sygnałowym obok toru kolejowego znajduje się specjalne zwierciadło pryzmatyczne, które odbija wszystkie promienie w jednym kierunku. Gdy pociąg ma stanąć zwierciadło zostaje odsłonięte, gdy zaś przejazd jest wolny lustro jest zakryte.

Na przodzie lokomotywy znajduje się maleńka żarówka, której promienie zapomocą układu soczewek i pryzmatów, zostają skierowane na zewnątrz do owego właśnie zwierciadła tkwiącego na maszcie. Stąd odbite, zostają znów skierowane na lokomotywę i działają na komórkę selenową, która wobec tego przewodzi prąd działający bezpośrednio na hamulec.

Zdarza się jednak często, że już kilka sekund później przejazd jest wolny i pociąg niepotrzebuje się zatrzymywać. By niepotrzebnie nie tracić czasu stosuje się zawsze przy kolejach podwójne maszty sygnałowe oddzielone od siebie przestrzenią 600 — 800 metrów. Pierwszy sygnał każe tylko zwolnić ruch, następny zaś decyduje ostatecznie, czy przejazd jest wolny, czy też nie.

Analogicznie urząda się hamulce selenowe. W odstępach co 150 metrów mniejwięcej znajduje się 5 masztów sygnałowych. Przy pierwszym pociąg zwalnia swój pęd jeśli porusza się z większą prędkością, aniżeli 80 kilometrów na godzinę, przy następnym, gdy prędkość jego przewyższa 60 km na godz., przy trzecim — 40, przy czwartym — 20, a wreszcie przy ostatnim zatrzymuje się.

Jeśli w czasie zwalniania ruchu, niebezpieczeństwo usunięto, to oczywiście, powiedzmy czwarty i piąty hamulec selenowy już nie działa, gdyż zwierciadła przy odpowiednich masztach zostały zakryte. Pociąg pojedzie dalej bez przeszkody. Całe urządzenie wypróbowano już wielokrotnie przy najrozmaitszych warunkach atmosferycznych i ani razu nie zaszedł wypadek niepowodzenia. Cała aparatura jest połączona z urządzeniem notującym każdy wypadek jej stosowania, wobec tego urzędnik kolejowy nadal musi uważać na sygnały, gdyż częste notowanie jego opieślności pociągnęłoby za sobą następstwa dyscyplinarne.

Nie ulega wątpliwości, że bezpieczeństwo na kolejach ogólnie się podniesie przy powszechnym stosowaniu selenowych hamulców.

Z tego co dotąd wiemy o stosowaniu fotoceli wynika, że komórka światłoczuła, włączona w obwód galwaniczny zależnie od naświetlenia przewodzi prąd, względnie stawia mu znaczny opór. Prąd elektryczny dopiero wykonuje przeznaczoną mu pracę.

W obwód fotoceli możemy oczywiście również, jeśli mamy zamiary wojenne, włączyć materiały wybuchowe. Uczynił to fizyk amerykański Thomas ze słynnej Westinghouse-Electric Company i skombinował miny, które eksplodują w chwili, gdy rzutujemy zdaleka snop światła na fotocelę.

Zależnie od tego, jakie przyrządy włączymy w obwód galwaniczny komórka światłoczuła dokona najdziwniejszych zleceń. Fotocela jest czulsza od naszego oka i odróżnia naprzykład rozmaite zabarwienia banknotów. Z tego to powodu można specjalną fotocelę używać do kontroli papierów wartościowych, opuszczających właśnie prasę drukarską.

Francuski fizyk Fournier-Cema skonstruował fotocelę, która reaguje nawet na światło infraczerwone, niewidoczne dla naszego oka. Promienie infraczerwone odznaczają się ciekawą właściwością, iż przenikają najgęstsze nawet mgły na odległość kilku kilometrów. Odtąd będą mogły swobodnie okręty przesuwac się w mgłę, gdyż komórka fotoelektryczna, reagująca na infraczerwone promienie, wysyłane przez latarnie morską, przyjmie ewentualne sygnały ostrzegawcze.

Nawet do ochrony przed bandytami będzie można stosować taką fotocelę. Wiencem promieni infraczerwonych możemy, zapomocą zwierciadeł, otoczyć nasz dom w ten sposób, że promienie odbite kilkakrotnie, dotrą wreszcie do światłoczułej komórki Fournier-Cema. Napastnik promieni infraczerwonych nie widzi, nie wie więc że w pewnym momencie ciałem swem zasłoni jedno ze zwierciadeł; w tej samej chwili fotocela włączy prąd, uruchamiający sygnał alarmowy — nocna wizyta nie udała się.

Fotocela jest stróżem bezpieczeństwa. Alarmuje w razie pożaru straż ogniową, fotocela umożliwia niewidomym czytanie, fotocela liczy, dodaje i odejmuje, fotocela — wszystko dla nas czyni, trzeba tylko umieć przystosować ją do danego zagadnienia, a to właśnie potrafią fizycy ze słynnej amerykańskiej W. E. C., którym zawdzięczamy najlepsze wynalazki z dziedziny cudów fotoceli.

dr. F. Burdecki

.....

Z POWODÓW NATURY TECHNICZNEJ, POCZĄWSZY OD NUMERU BIEŻĄCEGO „STERNIK“ UKAZYWAĆ SIĘ BĘDZIE 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĘCA.

O wszystkim potrosze

KOSZTOWNA RDZA.

Bank of Commerce w Nowym Jorku obliczył w swoim czasie, iż wskutek rdzewienia gnie w Stanach Zjednoczonych rocznie żelaza za 200 do 300 milionów dolarów. Obecnie w Niemczech zamienia się co rok w rdzę żelazo wartości około 1,5 miljarda marek. Najbardziej używanym środkiem zabezpieczającym przed rdzewieniem jest malowanie specjalnymi farbami, których działanie, własności i trwałość bada w Zurychu profesor Bloom, w Niemczech zaś cały szereg fachowców. Jeżeli nadmienimy, że utrzymanie w odpowiednim stanie jednej tonny żelaza kosztuje niemieckie koleje państwowe 32 marki rocznie, co daje w sumie 48 milionów marek, zrozumiemy z łatwością, iż przeciwdziałanie rdzewieniu żelaza jest z punktu widzenia techniki ważnym zagadnieniem.

RATUNKOWY KOSTJUM DLA PRZELATUJĄCYCH NAD OCEANEM.

Lotnicy, których konieczność zmusza do przerywania lotu w chwili znajdowania się nad wodą mogą obecnie ratować się nie zapomocą zwy-

kłego pasa korkowego, nasiąkającego wodą w ciągu kilku godzin, lecz przez włożenie na siebie, oczywiście jeszcze przed odlotem, specjalnego stroju ratunkowego. Ubranie to uszyte jest z dwóch warstw materiału nieprzemakalnego, między którymi zawarte jest powietrze, wystarczające do utrzymania człowieka na powierzchni wody, w pozycji przypominającej leżenie nawznak, nawet w ciągu kilku dni. Czerwona chorągiewka może być wywieszona w każdej chwili, w celu zwrócenia na rozbitka uwagi załogi przejeżdżających okrętów. Mały, przypominający zwykłą manierkę, kondensator skrapla parę wydychaną przez człowieka, dostarczając mu w ten sposób słodkiej wody do picia w ilości około pół litra dziennie. Strój ten, wypróbowany na rzekach i jeziorach, daje dobre wyniki jednak należy wątpić, czy może on być przydatny na oceanie, gdzie prócz zimna czyha na samotnego pływaka inny groźniejszy jeszcze wróg — fale, posiadające nawet przy spokojnej pogodzie parometrową wysokość.

.....

NOWY ŚRODEK NA PRZEDŁUŻENIE ŻYCIA.

Kanadyjczyk dr. Banting spodziewa się znaleźć niezawodny środek na przedłużenie życia w miodzie, który pszczoły robotnice przygotowują dla swej królowej. Ponieważ pszczoły robotnice żyją miesiąc — do sześciu tygodni, królowa zaś do lat pięciu, dr. Banting sądzi, że w miodzie, którym matka odżywia się zawarta jest substancja, przedłużająca życie.

Środek tego rodzaju jest bardzo pożądany chociażby z tego względu, że człowiek nowoczesny nierzadko pracuje intensywnie w wieku zupełnie starym, nie tracąc przytem swych zdolności umysłowych. Mózg zdaje się być według nowych badań fizjologicznych tą częścią naszego organizmu, która zachowuje młodzieńczą świeżość nawet wtedy, gdy ciało ludzkie już się zestarzeje.

Czy nadzieje pokładane przez kanadyjskiego badacza w miodzie spełnią się, pokażą dalsze studia, jeśli jednak o pszczoły chodzi, to pod uwagę należy wziąć fakt, że życie pszczoły robotnicy skracają przede wszystkim nadmierny wysiłek. Taka sama pszczołka, która latem ginie w ciągu kilku tygodni może w zupełnej bezczynności przetrwać całą zimę. Długie życie królowej objaśnić można raczej bezczynnością, bo- wiem jedynym jej zajęciem jest składanie jaj, będące procesem fizjologicznym.

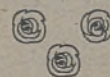
.....

ZABAWA A ELEKTRYCZNOŚĆ

Czy ktokolwiek z Was Szanowni Czytelnicy będąc na PWK w „Wesołem Miasteczku“ zwrócił uwagę na to, że najważniejszy czynnik, spiritus movens, mówiąc stylem wyszukany, wesołości, śmiechu i wrzawy stanowiła tam elektryczność? Napewno nie!

A jednak nowoczesny park rozrywkowy bez elektryczności jest nie do pomyślenia. Iluminacja z tysięcy żarówek, girland świetlnych i lampionów wywołuje wśród publiczności świąteczny, wesoły nastrój. Potołki światła, zalewające strzelnice, teatryki i scenki jaskrawo udekorowane, kolejki, karuzele i t. p. najłatwiej przyciągają szukających wrażeń. Prócz światła jednak większość „atrakcyj“ wymaga jeszcze dość znacznej ilości energii mechanicznej. Wszelkie urządzenia, mające na celu poruszanie, lub podnoszenie człowieka, jak kolejki napowietrzne, huśtawki, karuzele, schodki ruchome, pasy bez końca, zderzające się wagoniki, wirujące podłogi poruszane są zapomocą motorów, czy motorków elektrycznych. W Lunaparku berlińskim istnieją nawet łodzie elektryczne, ostatnio zaś zbudowano tam basen kąpielowy, którego niezwykłość polega na wielkich falach raz po raz rozpryskujących się o „wybrzeże“ i zalewających sztuczną plażę. Basen ten, w miejscu wytwarzania się fal wskutek ruchu płyt umieszczonych na dnie a popychanych energią elektryczną, ma aż 4 metry głębokości, malejącej stopniowo w kierunku biegu fal. „Sztuczne morze“ okryte wysokim szklanym dachem czynne być może cały rok; pozwala na to odpowiednia instalacja ogrzewająca.

Człowiek XX wieku nauczył się śmiać i bawić przy pomocy elektryczności.



KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

W L O T I

Hej bracia, w lot!...
 Niech uczuć splot
 Poruszy bryłę świata,
 Bo dość już krwi i ran i lez,
 My — nienawiści kładźmy kres,
 We wrogu znajdziemy brata!

Do góry skroń!
 Młot chwytaj w dłoń
 I skalę krusz z granitu —
 I kuj i bij — aż skruszysz głaz —
 Aż zwalczysz tę martwość mas,
 Aż ujrysz blaski słońca!...

Braterstwo krzew,
 Serc naszych siew —
 Jedności kuj ogniwa.
 Gdzie ciemność, mrok, tam światło nieś,
 Tam, gdzie nienawiść — miłość wskreś —
 W niej bowiem, moc spoczywa!

Z pałaców, chat,
 Nam każdy brat,
 Kto z nami dłoń swą spleta —
 Kto zwalczać chce i fałsz i brud,
 I walki twórczej dzielić trud,
 Oblicze zmieniać świata.

Hej — jako grom,
 Granitu złom,
 Zło kruszyć będziem w trudzie —
 A potem — gdy tak zrządzi los,
 Na całopalny legniem stos,
 Promienni — Jutra — ludzie.

Więc bracia w lot!...
 Niech uczuć splot
 Poruszy bryłę świata —
 Niechaj nasz wielki, święty zew
 Rozpali w sercach wszystkich krew,
 Niech w każdym znajdzie brata!...

Bronisław Miazgowski

PISMA NADESŁANE

„BRZASK“, Dwumiesięcznik uczennic Sem. Nauczycielskiego w Marjówce
 (Nr. Nr. 24 i 25 (8 i 9) R. III (VII)).

Z prawdziwą satysfakcją przeczytaliśmy dwa numery „Brzasku”. Jest to, rzec można bez przesady, jedno z najlepszych pism prowincjonalnych dla młodzieży. Począwszy od słowa wstępnego („Powitanie koleżanek”), w którym tak trudno ustrzec się patosu, skończywszy na żywej i prostej „Kronice” — wszystko tu niemal jest zwykłe, bezpretensjonalne i — jak to się dzisiaj mówi — niezakłamanie. Pojawiają się tu i ówdzie tematy banalne („Brzózki się skarżą”), płacze się jeszcze trochę górnych frazesów, ale ogólne wrażenie jest bardzo dodatnie. Nawet wierszyk „Złote Liście”, mimo, że czytać go można w różnych postaciach we wszystkich pismach dla młodzieży — napisany jest z dużą kulturą literacką (wpływ Asnyka i Konopnickiej).

Wydaje się, że redakcja „Brzasku” wypowiedziała stanowczą walkę panoszącemu się w młodzieńczych utworach napuszeniu, które tak źle się odbija na wszystkich niemal tego rodzaju pismach. Prawdziwą ozdobą październikowego numeru jest „Kronika”, w której słuchaczki Seminarjum opowiadają — prosto i z humorem — o swoim codziennym życiu.

Nr. 25-y (nadzwyczajny) poświęcony jest całkowicie uczczeniu 25-letniego jubileuszu kapłaństwa X. Kanonika Dra Juljana Młynarczyka opiekuna Seminarjum w Marjówce. Koledzy, współpracownicy i uczennice wierszem i prozą składają hołd umiłowanemu Kapłanowi-Wychowawcy, który bardzo wielkie położył zasługi na polu pedagogiki. Dodać należy, że X. Kan. Dr. Juljan Młynarczyk został w r. 1928 odznaczony przez Państwo Krzyżem Zasługi.

Jeśli można sądzić z treści i formy dwu nadesłanych nam numerów „Brzasku”, Seminarjum Nauczycielskie w Marjówce jest postawione na bardzo wysokim poziomie — i to nie tylko pod względem naukowym. Stworzyć z zespołu dużej liczby uczennic żywą i ożywioną jednym duchem rodzinę — to zdobyc, której przemilczeć nie można.

Redakcji „Brzasku” przesyłamy nasze serdeczne życzenia.

„PIERWIOSNEK”, Miesięcznik młodzieży. Śrem. (Nr. 1, r. III-i).

O piśmie tem trudno coś konkretnego powiedzieć, tak bardzo jest nierówno redagowane. Obok miłych wspomnień z wycieczek (a wspomnień tych jest aż nadto), znajdujemy w „Pierwiosku” zupełnie bezsensowny i źle w dodatku napisany wiersz p. t. „Włóczęga”.

Dotatnio się wyróżnia wspomnienie p. Ludwika Baraniaka („Moja wioska rodzinna”). Rażą natomiast jaskrawe błędy językowe w ogłoszeniach na ostatniej stronie (Np. „Polecam się do wykonania mundurków i t. d.).

„RADOŚĆ ŻYCIA”, Miesięcznik dla dzieci i młodzieży, Warszawa.
 (Nr. Nr. 9 i 10 (R. V)).

Pismo to, redagowane w duchu religijnym, przeznaczon jest prawie wyłącznie dla młodszego wieku. Młodzież wypowiada się w skromnej rubryce „Głosy czytelników”.

Bardzo dobrze postawiony jest dodatek „Dla młodszej dlatwy”, w którym czytamy piękny wiersz Or-Ota („Niewiast polskich serca święte”).

Zwracają uwagę starannie dobrane i dobrze wykonane klisze ilustracyjne.

ODPOWIEDZI

P. Bronisław Miazgowski, Brody.

Serdecznie dziękujemy za życzenia. Drukując wiersz Pański (po skutecznieniu pewnej drobnej poprawki), liczymy na dalszą współpracę.

HUMOR

— Czy pan mi gwarantuje, że te spodnie są z czystej wełny?
 — Nie chcę pana oszukiwać, guziki są z kości.

Amerikanin wysłuchuje przez radio mszy w kościele.
 Nagle wybucha śmiechem.
 — Dlaczego się śmiejesz? pyta go żona.
 — Bo teraz jest kwesta...

Kapitan okrętu mówi do podróżnych:
 — Kto z państwa się modli?
 Zgłasza się jakiś pastor.
 — No to módl się pan. A wszyscy inni niech kładą pasy ratunkowe.
 Jest o jeden za mało.

Służąca: — Proszę pani, czy mam teraz zdjąć skórę z zająca?
 Pani: — Zdjąć skórę, kiedy mamy czternaście osób do stołu? —
 Ależ nie, trzeba go ogolić.

Pisarzem kancelaryjnym jednego z pułków kalerji jest 64-letni sierżant Konewka. (Wstąpił do legionów, mając lat 51). Konewka sypia w małym pokoiku tuż przy kancelarji pułku — siódmy rok na tem samym miejscu. W tych dniach kancelarję przeniesiono na pierwsze piętro. Kazano przenieść się i Konewce. Skrzywił się i zaklął:

— Psiakrew! Cygańskie życie!
 — Jak otwiera się te puszkki z konserwami? — zapytuje pani.
 — Dokładny sposób użycia leży wewnątrz! — zapewnia sprzedający.

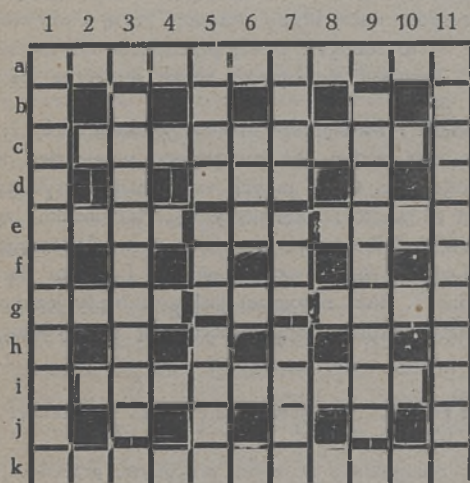
Dział rozrywek umysłowych

ZADANIA PLEBISCYTOWE

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy już cykl zadań, nadsyłanych przez czytelników. Po upływie kwartału czytelnicy drogą plebiscytu zdecydują, które zadanie było najlepsze. Autor wybranego zadania otrzyma nagrodę w postaci książki.

1. Krzyżówka

(pod. Harry Kolbow)



Znaczenie wyrazów poziomych:

- a 1 Nauczyciel Pitagorasa
- c 2 Dopływ Czarnej Nidy
- e 1 Szkic
- e 5 Legenda
- e 8 Żeńskie imię skandynawskie
- g 1 Zjawisko atmosferyczne
- g 5 Ryba
- g 8 Termin z gry w karty
- i 2 Spadek
- k 1 Motyl nocny

Znaczenie wyrazów pionowych:

- 1 a Minerał
- 3 b Kraina w Rumunji
- 5 a Członek rodziny (2 przyp. l. p.)
- 5 e Konieczność
- 5 h Rasa psa (l. mn.)
- 7 a Jednostka wagi
- 7 e Katedra
- 7 h Owoce
- 9 b Alkaloid (Silna trucizna)
- 11 a Objaw występujący przy wielu chorobach umysłowych

2. Logogryf.

(pod. Harry Kolbow)

Pierwsze litery wyrazów pionowych dadzą imię i nazwisko powieściopisarza polskiego. Ostatnie litery wyrazów są jednakowe.

1. X — — — — — Choroba oczu
2. X — — — — — Wzniosłość, przesada
3. X — — — — — Wprawność, zręczność
4. X — — — — — Ferment, znajdujący się w drożdżach
5. X — — — — — Dopływ Amazonki
6. X — — — — — Młodzieńczy utwór Mickiewicza
7. X — — — — — Kraj szczęśliwy, wymarzony
8. X — — — — — Ataman Kozacki za Zygmunta III.
9. X — — — — — Stan obojętności
10. X — — — — — Przyrząd do celowania na odległość (w karab.)
11. X — — — — — Lewy dopływ Wołgi
12. X — — — — — Historyk polski
13. X — — — — — Półwysep we Włoszech.

KONKURS WSZECHSTRONNOŚCI

rozpoczęty w Nr. 2 R. I.

Konkurs składa się z sześciu cyklów z następujących dziedzin: matematyki, geografii, fizykochemii, historii, nauk przyrodniczych, oraz literatury. Odgadujący największą ilość zadań we wszystkich cyklach razem — otrzyma jako nagrodę książkę.

Ponadto za każdy cykl zadań przeznaczony jest w nagrodę kwartalnej prenumeraty „Sternika”.

III cykl przyrodniczy

1. Wymienić i poprzeć przykładami przystosowania roślin do suchego klimatu i suchej gleby.

2. Wymienić ptaki zimujące u nas i wskazać czem się żywią.

3. W rozprawce, najwyżej 500 słów, podać treść teorii Lamarque'a.

KONKURS NA „NARODOWOŚĆ”

„Gdybyś nie był Polakiem, jakiej narodowości chciałbyś być i dlaczego? Odpowiedź nie powinna zawierać ponad 150 słów.

Z pośród wszystkich odpowiedzi wylosowana będzie jedna do nagrody.

U W A G A.

Termin odpowiedzi na wszystkie pytania i zadania z bieżącego numeru upływa 1 lutego.

Odpowiedzi z każdego konkursu należy umieścić na oddzielnych kartkach.

Na każdej kartce należy podać nazwisko, imię, adres, szkołę i klasę.

ROZSTRZYgniĘCIE KONKURSÓW Z Nr. 2.

Najlepsze rozwiązanie „Trzech zadań” nadesłał Saturnin Jarmulski z Modlina. Otrzyma prenumeratę kwartalną „Sternika” po przysłaniu dokładnego adresu.

Najlepsze rozwiązanie cyklu matematycznego nadesłał B. Brandt ucz. kl. VI gimnazjum w Klarysewie. Otrzymuje kwartalną prenumeratę „Sternika”.

Najlepiej umotywowaną odpowiedź na „Pytanie”, nadesłał Fr. Chylak z Mogielnicy. Otrzymuje kwartalną prenumeratę „Sternika”.

Rozstrzygnięcie konkursu dla lubiących czytać podamy w następnym numerze.

„STERNIK” WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓLDRUK”, Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.